

# NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 12 stron

Warszawa, 9 kwietnia 1950 r.

Nr 2 Rok I



Przeprawa — fragment obrazu Mieczysława Tomkiewicza  
foto — Deptuszewski

LEON KRUCZKOWSKI

## OD ZŁUDZEŃ NEUTRALIZMU DO RZECZYWISTOŚCI

— My, Szwedzi, wszyscy jesteśmy pacyfistami. Za mało jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że pokój jest niepodzielny i że o pokój trzeba walczyć. Brak nam również pasji, nieodownej do tej walki...

Mniej więcej coś takiego (cytuje z pamięci) powiedziała Marika Stiernstedt, znana pisarka szwedzka i działaczka szwedzkiego ruchu pokojowego, w swoim przemówieniu na otwarciu III sesji Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju w Sztokholmie — i zdaje się że określiła w ten sposób jeden z bardziej charakterystycznych rysów swego społeczeństwa. Złudzenia neutralizmu — oto magiczny krąg życia Szwedów, ich politycznego myślenia.

Istotnie, od czasu wojen napoleońskich nawet szwedzcy fabrykanci bronią się przeciw wojnie — to znaczy: przeciw udziałowi Szwecji w wojnie. Ten niewielki naród, którego bitne i łupieżcze wojska pustoszyły niegdyś wschodnią Europę, biorąc cieżki aż gdzieś pod Połtawą — ten naród od 130 lat chlubi się swoimi pacyfizmami, swoją wytrwałą neutralnością, i jest przekonany że w ten sposób najlepiej służy ludzkości i — sobie. To pewna że od 130 lat żywa nieprzerwanie błogosławieństwa pokoju. Trudno się oprzeć bijącej tu w oczy na każdym kroku oczywistości tego historycznego fenomenu.

Zdawałoby się, w jakimże innym kraju znaleźć miejsce, „klimat” i środowisko ludzkie, bardziej stosowne i bardziej przychylne wszelkim akcjom zmierzającym do zapewnienia światu możliwości pokojowego rozwoju? Przychylnością i aprobatą zdawało się przemawiać już samo wieczorne piękno oświetlonej bajecznie stolicy, podwołone odbiciem w czarnych lustrach wód. Tymczasem...

Tymczasem konferencja sztokholmska od pierwszego po ostatni dzień obradowała pod ostrzałem całej niemal prasy szwedzkiej — z jednym, zdaje się, wyjątkiem „Ny Dag”. Skromne, kurtuazyjne przyjęcie na ratuszu dla uczestników sesji, wydane przez zarząd miejski, ściana jego przedziałowej wielkości z socjal-demokratycznym prezydentem A. C. Anderssonem na czele. A już objawem wręcz tragicomicznym zupełnego braku poczucia rzeczywistości był „protest” przeciw konferencji, podpisany przez 250 „przedstawicieli życia kulturalnego” Szwecji, wśród których znalazła się pewna liczba luminarzy przemysłu i finansów oraz tacy intelektualści jak pan John Carlen, „sekretarz baptystów” z Malmö czy pani Ila Nilsson, „fryzjer damski” (!) z miasta Umeå...

O brak poczucia rzeczywistości nikt oczywiście nie pomówi szwedzkiej prasy burżuazyjnej. Wie ona dobrze co robi, gdy zawzięcie „interviewuje” Ingrid Bergman na temat jej przygód miłosnych z Rosselinim, a nie zwraca się np. do Fryderyka Joliot-Curie w sprawie jego poglądów na wojnę i pokój. Wie ona dobrze co robi ostrzeliwując konferencję w rodzaju sztokholmskiej. Inaczej nieco rzecz wygląda, gdy np. pan Rolf Beskow, magister filozofii z Malmö, „protestuje” przeciw przybyciu do Sztokholmu tegoż właśnie Joliot-Curie, prof. Bernala, Erenburga, Anny Seghers czy ks. Boulier. Magister filozofii z Malmö bodaj naprawdę nie wie, że pokój jest niepodzielny i że o pokój trzeba walczyć — a jego szwedzkie doświadczenie, jak dotąd, raczej utwierdza go w tej niewiedzy.

„Mieszkańcy Oslo, Kopenhagi i Sztokholmu — mówił w swym referacie na sesji Iija Erenburg — wszyscy równie pragną pokoju, lecz to pragnienie jest u nich jednakowo bierno. Jeśli przyjąć absurdalne założenie, że historia jest grą podobną do loterii na jarmarku, to można by powiedzieć, że Szwecji udało się dwukrotnie wylosować dobry numer. Ale Norwegii i Danii poszczęściło się tylko raz, w pierwszej wojnie światowej, w drugiej wyszło im znacznie gorzej. Nie wierzę, aby ten sposób traktowania historii oraz losu miast i dzieci mógł jeszcze dzisiaj zadawać szwedzkim architektów i szwedzkie matki. Po dwóch wygranych łatwo można za trzecią razem wyciągnąć — czarny bilet”.

Właśnie z „tego sposobu traktowania historii” płynie filisterska wiara w „po-

dzielność” pokoju, oraz ów niedostatek przekonania, że o pokój trzeba walczyć, a wreszcie — ów brak pasji niezbędnej do walki.

Lecz jeśli w cytowanych na wstępie słowach Mariki Stiernstedt stwierdzamy dużą część prawdy o dzisiejszej Szwecji, to nie wydaje się aby to była prawda stała i niezmienna. Jeśli prawdą jest że odcinek szwedzki był dotąd jednym ze słabszych, raczej pasywnych ogniw światowego frontu walki o pokój, to konferencja sztokholmska niewątpliwie odegrała rolę katalizatora na tym terenie, podziałała mobilizująco zwłaszcza na szczyrą i głęboką wolę pokojową szwedzkiej klasy robotniczej. Nawet wy-

nętrną. Tym samym wytrąca broń z ręki wszystkim tym, którzy — z wyraźną złą wolą — przypisywali i przypisują akcji Światowego Kongresu Obrońców Pokoju jednostronne motywy i cele polityczne, a w każdym razie przypiera ich do muru i zmusza do ostatecznego obnażenia się przed światem w otwartej postawie jego wrogów, wrogów całej ludzkości. Po Sztokholmie trudne też będzie lub wręcz niemożliwe dalsze manewrowanie różnych dywersyjnych imprez pseudopokojowych, tak obfitych dziś w zmarshalizowanej zachodniej Europie.

Druga doniosła uchwała sztokholmska ogłasza za zbrodniarza wojennego



Stół delegacji polskiej na konferencji sztokholmskiej. Od lewej strony: Ostap Dłuski, Leon Kruczkowski, Wojciech Kętrzyński, Władysław Matwin

„każdy rząd, który pierwszy zastosuje broń atomową przeciw jakimkolwiek krajowi”. Słowa te zabrzmiały po raz pierwszy w przemówieniu inauguracyjnym Fryderyka Joliot-Curie w dniu otwarcia konferencji — i stały się jednym z głównych motywów czterodniowej dyskusji. Znakomity uczonec, jeden z tych, którzy obdarzyli ludzkość nowym potężnym źródłem energii, w obronie własnego dzieła przed współczesnymi wrogami człowieczeństwa sformułował zasadę, która oznacza dalszy, stanowczy krok w rozwoju prawa międzynarodowego, w uściśleniu definicji zbrodni wojennej, zbrodni przeciw ludzkości.

„Podczas procesu norymberskiego — przypomnieliśmy — jeden z oskarżonych oświadczył: „Nie mogliśmy przewidzieć że skończy się właśnie tak”... Ludzie, którzy pograżyli Europę we krwi, nie przewidzieli że znajdą się na ławie oskarżonych”.

„Podczas procesu norymberskiego — przypomnieliśmy — jeden z oskarżonych oświadczył: „Nie mogliśmy przewidzieć że skończy się właśnie tak”... Ludzie, którzy pograżyli Europę we krwi, nie przewidzieli że znajdą się na ławie oskarżonych”.

„Apełujemy... do wszystkich uczciwych ludzi... niezależnie od ich poglądów na przyczyny obecnego napięcia w sytuacji międzynarodowej” — oto przyjęta w Sztokholmie formuła mobilizacyjna ruchu. Niedwuznacznie podnosi ona, na obecnym etapie, prymat walki o pokój ponad wszelkie możliwe przeciwieństwa ideologiczne, klasowe czy ustrojowe. Szeroko otwiera drogę wspólnemu działaniu dla wszystkich szczyrych i uczciwych zwolenników pokoju, bez względu na to jak oceniają bieżącą politykę tego czy innego rządu, tego czy innego państwa — zewnętrzną czy wew-

Sztokholmska definicja „atomowego” zbrodniarza wojennego uprzedza przed spóźnionym żalem wszystkich współczesnych kandydatów do ewentualnej nowej ławy oskarżonych. Wychodzi ona poza praktykę dotychczasowych konwencji międzynarodowych w przedmiocie zbrodni wojennych, tworzonych najczęściej „ex post”, na dymiących zgłiszczach miast i stosach trupów. „Rząd, który pierwszy zastosuje broń atomową przeciw jakimkolwiek krajowi” — jeśli są ludzie, gotowi stać się takim rządem i jego sztabem generalnym, wiedzą oni już dzisiaj o swoim ostatecznym losie. Nie będą mogli, jak to usiłowali robić — bezskutecznie — podsądni norymberscy, zastąpić się klasyczną zasadą „Nullum crimen sine lege”. Bo chociaż definicja sztokholmska nie jest jeszcze formalną sankcją międzynarodowego kodeksu, sygnatariuszami jej są z całą pewnością setki milionów ludzi wszystkich ras, narodowości, przekonań politycznych i wyznań religijnych — z wyjątkiem wodzów i sztabowców imperializmu oraz ich świeckich i duchownych najemników. Takich jak ów publicysta „New York Times Herald”, który napisał niedawno: „Będziemy wysyłać samoloty na 40.000 stóp wysokości z bombami atomowymi, pożarowymi i bakteriologicznymi, aby zabijać dzieci w kołyskach, babcię przy modlitwie i robotników przy pracy” (cytuje za prasą szwedzką). I takich, jak amerykański kardynał Spellman, który w obliczu tego rodzaju zbrodni „publicystyki” tylko tyle ma do powiedzenia stroskanym narodom że „w epoce atomowej winniśmy wszyscy być gotowi na śmierć każdej chwili”... Nie, ci ludzie nie podpiszą się pod uchwałami sztokholmskimi, nikt bowiem nie podpisuje wyroku na siebie samego.

Na publicznym zebraniu inauguracyjnym konferencji sztokholmskiej zdarzył się drobny ale znamieny incydent. Przedstawicielka komitetu szwedzkiego prezentując członków prezydium zebrania, siedzących na estradzie, zapytała młodego delegata-Afrykańczyka, jaką Afrykę reprezentuje: francuską czy angielską? „Czarną Afrykę”, odpowiedział spokojnie Murzyn wzniecając burzę oklasków na sali.

Otóż ten sam delegat murzyński w trzecim dniu obrad oświadczył w swoim przemówieniu mniej więcej co następuje: My, afrykańscy Murzyni, walcząc o nasze narodowe wyzwolenie z jarzma kolonialnego, gotowi jesteśmy dzisiaj połączyć tę naszą walkę z większą i ważniejszą sprawą: z walką o pokój wspólnie z metropolią francuską i wszystkimi narodami świata.



Na ratuszu sztokholmskim. Od lewej strony: Pietro Nenni, C. A. Andersson, Fr. Joliot-Curie, Knut Olsson

Szwecja jest krajem, w którym słowa powyższego oświadczenia powinny obudzić najwięcej refleksji. Mówią one bowiem o poczuciu solidarności w walce o pokój — nawet tam, gdzie ludy ujarzmione walczą o swoje prawo do wolności, o usunięcie swej nędzy i kolonialnego wyzysku. Szwedzi nie muszą prowadzić takiej walki, Szwecja jest bogatym, spokojnym krajem, który oddawna wyrzekł się wojny, a jeśli stał się ojczyzną dynamitu, to znalazł w nim jedynie środek do opanowywania swej dzikiej, skalistej ziemi. Tak, prawie wszyscy Szwedzi są zwolennikami pokoju. Chodzi jedynie o to, aby ostatecznie przestali wierzyć że pokój się wygrywa partykularnie i z łaski losu, jak pomyślny bilet na loterii. Zdaje się że ta wiara nie jest już dzisiaj tak silna jak dawniej, a konferencja sztokholmska na pewno osłabiła ją jeszcze bardziej. Czy z tego powodu naród szwedzki ma prawo odczuwać żal i pretensję do Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju? Być może, matki szwedzkie śpią dzisiaj mniej spokojnie niż dotychczas, ale jeżeli to pobudzi ich czujność za dnia — tym spokojniej będą mogły spać ich dzieci.

Sztokholmska konferencja uchwaliła skierować do wszystkich narodów ziemi apel o wysłanie przedstawicieli na Drugi Kongres Światowy Obrońców Pokoju, który odbędzie się we Włoszech w IV kwartale 1950 roku. Przy uchwaleniu tego apelu nie jeden z nas, być może, zadał sobie pytanie: w jakiej sytuacji zbierze się ten nowy Kongres? Sześć, siedem miesięcy to dzisiaj kawał historii. Jak w tym czasie będą się wahały szale wojny i pokoju?

Nie ulega już dziś wątpliwości że będzie to zależało przede wszystkim od dalszego rozwoju światowego ruchu antywojennego. Jak dotąd, jest to ruch bez precedensu w historii. Nigdy jeszcze energie woli zbiorowej nie zostały uruchomione w równie potężnej skali, nigdy jeszcze nie były one równie realnym czynnikiem w życiu międzynarodowym. Właśnie w obozie podległym wojennym wiedzy o tym najlepiej, lepiej nieraz niż my sami. Dlatego jest metoda w szaleństwie ich propagandy, metoda tym perfidniejsza że obliczona zarówno na pesymistyczne jak i optymistyczne skłonności prostego człowieka.

Oddajmy jeszcze raz głos Erenburgowi:

„...Ludzie czytają codziennie o bombach i superbombach — i zaczynają się przyzwyczajać do tego wrzasku ludożerców, jak do jakiegoś nieuniknionego akompaniamentu życia. Skłonny do optymizmu mieszczuch myśli: „Nie pierwszy już rok piszą o wojnie, a wojny nie ma. Znaczy to że wojny w ogóle nie będzie”. Mieszczuch o usposobieniu ponurnym rozumuje wręcz odwrotnie i równie niebezpiecznie: „Jeżeli tyle mówi się o wojnie, to znaczy że wojna jest nieunikniona, wcześniej czy później. Cóż mogę zrobić ja, mały Durand czy Smith? Lepiej pożyć spokojnie rok czy dwa, a potem niech będzie co ma być”.

Światowy ruch obrońców pokoju rośnie i potężnieje właśnie przez przełamywanie zarówno „optymizmu” jak i „pesymizmu” Durandów i Smithów, a także magistrów filozofii z Malmö czy Kopenhagi. Owszem, jest to ruch optymistyczny, ale formuła jego optymizmu brzmi inaczej:

Wojny nie będzie jeśli *my wszyscy*, uczciwi ludzie, bez różnicy ras, narodowości, wyznania czy poglądów politycznych, będziemy zdecydowanie bronić pokoju wszelkimi dostępnymi nam środkami.

Wojny nie będzie jeśli *my* do niej nie dopuścimy.

Wojny nie będzie jeśli *my wszyscy* objawimy naszą stanowczą, solidarną wolę odparcia wszelkich zamachów na pokój.

Jesienny Kongres we Włoszech będzie doniosłą manifestacją. Ale ważniejszym dla pokoju w dzielącym nas od tej manifestacji okresie najbliższych sześciu miesięcy.

My wszyscy. Także Wy, przyjaciele szwedzcy.

Leon Kruczkowski

ROMAN KARST

## TESTAMENT HENRYKA MANNA

Henryk Mann przeżył i zawarł w swojej twórczości trzy formacje polityczne niemieckiego imperializmu: cesarstwo, republikę weimarską i hitlerowską. Zewnętrzne akcesoria zmieniały się kilkakrotnie: pikielhaube zastąpił cylinder a potem czapka z trupią główką. Za kulisami jednak działały wciąż te same siły — Kruppowie i Thyssenowie.

Dzieło Henryka Manna łamie tradycyjną linię rozwoju powieści niemieckiej i pod tym względem jest zjawiskiem niezwykłym. W epoce poklasycznej zanikła w Niemczech powieść polityczna, wielka epika mieszczańska obniżyła lot. Przyczyna tkwiła w osławionej i tylekroć przez Marksa i Engelsa podkreślanej „nędzy” niemieckiego bytowania. Niemieckie mieszczaństwo było paradoksalnym stworem; silne liczebnie, nie miało kośćca politycznego i nie zdobyło się nawet na poczory niezależności. Ten kolos na nogach nie tyle z gliny ile z gutaperki ugiął się bezwolnie pod najcięższym tchnieniem władzy. Rewolucje burżuazyjne, które przewalały się nad Europą, łaskotały — jak mówił satyryk — jego ledźwie.

O ile klasyki niemieccy zmagali się z rodzimą miernotą, o tyle ich epigoni nie zadawali już sobie tego trudu, pogodzili się z istniejącym stanem rzeczy. Harmonia współżycia niemieckiego mieszczaństwa z codziennością została naruszona dość późno. Niwelujące działanie imperializmu, który bezlitośnie kruszył gmach demokracji burżuazyjnej — gmach ten był w Niemczech budowany w prusko-koszarowym stylu — czyniło wielkie spustoszenie.

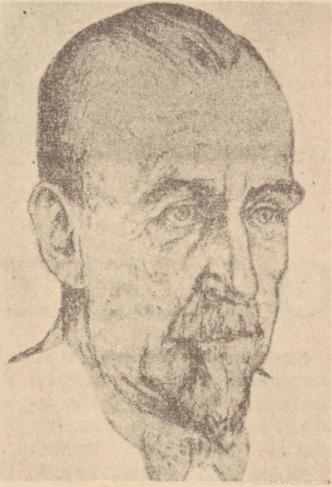
W tej powodzi miernoty pierwszym skrawkiem stałego ładu były powieści Henryka Manna, który wprowadził do prozy niemieckiej rozległą problematykę społeczno-obyczajową i założył podwaliny współczesnej powieści politycznej. Henryk Mann, pierwszy w literaturze krytyk niemieckiego imperializmu, był pionierem wielkiej epiki społecznej, której nurt ominął szczęśliwie mielizny naturalizmu i ekspresjonizmu, rozplenione po nacjonalistycznej ekstazie pierwszej wojny światowej. Ten nurt podążył w dwudziestym wieku w dwóch kierunkach: w kierunku mieszczańskiej powieści realistycznej i rewolucyjnej prozy o charakterze klasowo-robotniczym. Pierwszy kierunek w przeróżnych jego wariantach reprezentują dziś Tomasz Mann, Arnold Zweig i Lion Feuchtwanger, drugi — plejada pisarzy starszego i młodszego pokolenia: Bertold Brecht, Ludwik Renn, Anna Seghers, Fryderyk Wolf, Willi Bredel, Hans Marchwitza, Bodo Uhse i inni. Henryk Mann zajmuje tu stanowisko osobliwe, jego dzieło jest kłamrą spinającą oba odgałęzienia postępowej prozy niemieckiej. Jego pierwsze sympatie polityczne należały do rewolucji burżuazyjnej. W miarę degradacji i wyradzenia się kultury burżuazyjnej radykalizowały się poglądy autora „Poddanego” i zbliżały coraz bardziej do klasy robotniczej. Ten proces przebiegał w prozie mannowskiej wolniej, w publicystyce szybciej i wyraźniej.

\*

Powieści Henryka Manna sprzed pierwszej wojny światowej tworzą dwa przecinające się kręgi. W pierwszym, przeważającym, znajdują się utwory: „W kraju próżniaków”, „W pogoni za miłością”, „Profesor Unrat” i trylogia „Cesarstwo”, w drugim — „Mieszcina” i renesansowy tryptyk „Boginie” („Diana”, „Minerva”, „Venus”). W „kraju próżniaków”, w „Profesorze Unrat” i w „Cesarstwie” objawia się pisarz realistyczny i wnikliwy krytyk zjawisk społecznych, który odsłania pustkę i zgniliznę duchową epoki wilhelmskiej. W „Mieszcinie” i w „Boginiach” (tudzież w szeregu nowel) realista ustępuje miejsca romantykowi pogrążonemu w uroczyście zamysłeniu, w nastroju uczuciowym, interpretowanym kunsztownie i po trosze metafizycznie.

Każde z wymienionych dzieł było swego rodzaju objawieniem. Każde zwiastowało wielkiego prozaika na skalę europejską, głębokiego myśliciela i mistrza formy, który — na równi z Heinem — potrafił nadać prozie niemieckiej kształt nieskończenie piękny.

Realistyczne powieści Henryka Manna są widownią warstw i sił społecznych, które zgubnie zaciążyły na dziejach Niemiec: mieszczaństwa i wielkiej burżuazji. Klasa robotnicza znalazła w nim nie tyle swego epika ile sprzymierzeńca, który w olbrzymim dorobku publicystycznym dał wyraz nadziejom, jakie przywiązywał do zwycięstwa mas pracujących nad burżuazją. Henryk Mann był wybitnym realistą, który pierwszy w Niemczech przeprowadził krytyczną analizę burżuazji, przewidział jej upadek i zwyrodnienie, a ostrzegł przed niebezpieczeństwem faszystwu. Pierwsza maska z cłbicza niemieckiej burżuazji została zdarta w „Kraju próżniaków”. Te powieści wspomina Mann, mówiąc o początkach swojej twórczości, mimo że poprzedza ją o dziesięć lat książka „W pewnej rodzinie”, przypominająca ujęciem i kompozycją „Wahlverwandtschaften” młodego Goethego. „W kraju próżniaków”, powieść berlińskiego fin de siècle'u, jest zgrzyliwą satyrą na sfery giełdowe i dziennikarskie, oglądane oczami przybyłego z prowincji Andrzeja Zumsee. Książka ta wywalała z początku nieporozumienie, krytyka niemiecka potraktowała ją jako niewinną groteskę obyczajową, nie dostrzegłszy w niej groźnego ostrzeżenia. Dopiero „Profesor Unrat” i „Cesarstwo” wyprzedały burżuazyjnych krytyków z błędu a potem z równowagi. Dostrzeżono przezrażliwe ostrze i groźbę mannowskiej vis comica, wysmiewającej triumf mieszczańskiej przeciętności, któ-



Henryk Mann

ra — wyzbywszy się ideałów, skrupułów i mralnych hamulców — rozsiadła się we wszystkich zakamarkach życia społecznego i rządziła krajem przy pomocy strachu i zbrodni. Przeciwności osłaniającej swą nicosć frazesem i pustą formułą, śmiejącą dysproporcją między małym formatem i uroczyстым kostiumem. Przeciwności — groźnej swoją bezmyślnością i pijanej władzą.

Realistyczne powieści Manna były atakami na mieszczańskie kołtuństwo podatne na zbrodniczość i oskarżeniem zbrodniczego kapitału. Toteż nauczyciel gimnazjalny Raat, blakający się w zakurzonej surducie po zaułkach Lubecki i jego zagłada, od której nie uchroniły go gorliwie zalecane przezeń cnoty („wpływy kościół, krzepka szabla, bezwzględne posłuszeństwo i surowe obyczajanie”) — urosły do rozmiarów symbolu. Symbolu, który ucieleśniał żołnierskiego ducha wilhelmskiego systemu wychowawczego i pruskiego antyhumanizmu. Że opłacone tyranii szkolne, nieufne i mściwe, ściągane strachem i przekleństwem własnych grzeszków, lekające się władzy i uwielbiające ją, gdyż zezwalała uciskać słabszych — było więcej niż typem. Było koncentratem plugawstwa (Unrat) czasów świetności pruskiej, przyrodzianego w mieszczańskim surducie. Przeraziłwie zdecydowanie, z jakim pisarz powiódł swojego bohatera na dno zepsucia, było wyrazem konsekwentnego potępienia całej epoki. „Profesor Unrat” stał się prognozą rewolucji nihilizmu, która w trzydziści lat później przychlebia polityczny kształt faszystwu.

Ostatecznego zerwania z oficjalnymi Niemcami dopełniło „Cesarstwo”, satyryczne malowidło ery wilhelmskiej. Trylogia ta („Poddany”, „Biedacy”, „Głowa”) była zjawiskiem przełomowym w rozwoju niemieckiej powieści realistycznej, która odtąd nabierała wielkiego rozmachu i rozszerzyła pole widzenia pisarskiego. W „Cesarstwie” Mann poszedł o wiele dalej, niż w poprzednich powieściach. Tutaj dotarł — nie zapominajmy, że „Poddany” został skończony w roku 1914 — do źródeł zagadnienia niemieckiego, obnażywszy załki niemieckiego faszystwu. Dokonywał obrachunek z „cesarstwem Kruppa” w chwili rozkwitu niemieckiego imperializmu. Kiedy ukazał się „Poddany”, Wilhelm II przeżywał apogeum swojej władzy. Portret niemieckiego bürgera i niemieckiego kapitalisty, wycieniony z niezwykłą precyzją, obiekł się w trylogii trupią bladeścią w chwili, kiedy burżuazja czuła się w Niemczech wcale pewnie. Diederich Hessling, cierpiący w dzieciństwie na uszy i lekający się własnego cienia, jeden z miliona poddanych króla pruskiego i cesarza niemieckiego, był prototypem szaraczek, którym faszystw wsunął nóż do ręki. W „Cesarstwie” pojawia się po raz pierwszy na widowni klasa robotnicza, której znaczenie i misja historyczna zostały przez autora wyraźnie zaakcentowane.

Spadkobierczynie cesarstwa, republika weimarska, nie długo cieszyła się względami Manna. Po zdławieniu rewolucji niemieckiej i rozwianiu nadziei, które pisarz wiązał z młodą republiką, nastąpiło otrzeźwienie i rozczarowanie. Bohaterem „Wielkiej sprawy” jest już polityk weimarski, człowiek nowej epoki, w którym odzywają stare narowy. „Wielka sprawa” jest obrazem „liberalnego” kapitalizmu reprezentowanego przez skorumpowanego polityka i pasywnego „użytkownika” republiki. Powieść prześwieśla na wskroś górne warstwy społeczne i demaskuje w głównej postaci, Schattichu, elementy wiodące kraj do katastrofy.

Epoka cesarstwa i republiki była w życiu Manna okresem ożywionej działalności publicystycznej, zarówno literacko-krytycznej jak politycznej. Płonem tej działalności są cztery tomy esayów, świadczące o wszechstronności zainteresowań i erudycji, jak również o konsekwentnej postawie antyfaszystowskiej autora. Publicystyka Manna, podobnie jak jego proza, jest na wskroś upolityczniona, iskrzy się bogactwem wspomnień i rozważań z zakresu literatury, sztuki i polityki, biczuje szwizm i wstępczość burżuazji niemieckiej, demaskuje moralne zakłamanie mieszczaństwa, ostrzega przed niebezpieczeństwem militarystyki i faszystwu. Rozprawy z lat 1910 - 1919 obejmują tom „Władza i człowiek”, który zawiera między innymi znakomite prace: „Europejszczyk”, „Cesarstwo i republika” oraz słynny esay „Zola”. Ten ostatni formuluje credo literackie Henryka Manna, credo pisarza - demokraty, aktywnego humanisty i zwolennika postępu społecznego. Do tego tomu zbliżony jest zbiór „Życie publiczne” (1932 r.)

uwzględniający doświadczenia międzywojennych lat w Niemczech, oraz częściowo tom „Siedem lat” będący „kroniką myśli i zdarzeń” z okresu 1921-1928. Zbiór „Myśl i czyn” ma charakter literacko-krytyczny i zawiera szereg prac poświęconych francuskim pisarzom (Chardieros de Lanclos, Stendhal, Hugo, Flaubert, France, ponownie Zola itd.).

\*

Po objęciu władzy przez Hitlera Henryk Mann schronił się, nie chcąc podzielić losu swoich książek, za granicę. Opuścił kraj w sześćdziesiątym roku życia, w wieku niezbyt nadającym się do wędrówek, zdecydowany do walki z faszystwem i przeświadczony o jego nieuchronnej klęsce. Opuścił kraj ze słowami: „Naród niemiecki naraża się na niebezpieczeństwo i drogę zapłaci za swoją uległość tym władcóm (hitlerowcom — R. K.). Poniosła oni klęskę. Pewne jest, że cywilizacja przeżyje ich. Zwiążcie się z nami, z naszym narodem, musimy w to wierzyć. To co przetrwa — to chyba rozum ludzki”. Po krótkim pobycie w Czechosłowacji, która nadała autorowi „Wielkiej sprawie” swoje obywatelstwo, Mann przesiedlił się do Francji i w 1940 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkał w Kalifornii.

17 lat emigracji Henryka Manna był to okres niestrudzonej walki z faszystwem. Jego ważne słowo rozświetlało, jak ogień, noc faszystowskiej hańby. Walczył myślą i czynem (już w 1933 r. stał na czele Tymczasowego Komitetu niemieckiego frontu ludowego we Francji) o wyzwolenie swojej ojczyzny, apelując przede wszystkim do niemieckiej klasy robotniczej i stale ponawiając wezwania o zespolenie obozu antyfaszystowskiego w kraju i na emigracji. Przemówienia i artykuły z tego okresu, zebrane w tomach „Nienawiść” (1933), „Nadejdzcie dzień” (1936) i „Odwaga” (1939), są jedną z najpiękniejszych kart niemieckiej myśli postępowej XX wieku. Ich treścią jest sprawa walki z faszystwem, walki o postęp społeczny, o pokój między narodami, o demokrację i triumf idei humanistycznej w dziejach ludzkości. Nadzieje na renesans Niemiec i świata wiązał pisarz ze zwycięstwem klasy robotniczej, w której widział jedyną siłę zdolną do obalenia władztwa międzynarodowego kapitału monopolistycznego. „Uczciwy demokrat” — pisał Henryk Mann — musi zdawać sobie sprawę z tego, że tylko marksizm stwarza przesłanki prawdziwej demokracji”. Toteż widział w Rewolucji Październikowej przełomowe zjawisko w dziejach ludzkości a w Związku Radzieckim ostoję postępu i główną potęgę antyfaszystowską w świecie. Słowa niezłomnej wiary i uwielbienia dla pierwszej ojczyzny socjalizmu utrwaliły

historyczną ostatnią dziesięciolecie, nie mającą odpowiednika w literaturze niemieckiej. Tetralogia biblijna Tomasz Manna nie jest powieścią historyczną sensu stricto a powieścią Feuchtwangera nie wytrzymują porównania z „Henrykiem IV”, zarówno gdy chodzi o historyzoficzne ujęcie przeszłości, jak o doskonałość rysunku psychologicznego i o niedoścignione ujęcie tego, co zwiemy genius loci et temporis.

Dzieje króla, o którym niemiecki mieszczaństwo wiedziało, że pragnie aby każdy chłop miał w niedziele kurę w garnku, przybrały w powieści mannowskiej postać dramatycznego konfliktu politycznego, który zainicjował we Francji nową epokę. Henryk IV, oświecony i humanitarny władca renesansu, stał się tu synonimem postępowych sił społecznych, które łamią okowy średniowiecznej, feudalnej formacji ustrojowej. Niemiecka krytyka usiłowała interpretować powieść jako retrospektywny rzut współczesnych konfliktów i dopatrzeć się w Henryku IV i jego antagoniście rysów postaci najbliższych naszym czasom. Czy słusznie? Pomijając problematykę historycznej paraleli, przekalkulując swobodnie pięć stuleci, wydaje się, że tego rodzaju analogia zwięża horyzont patrzenia mannowskiego. Henryk IV jest czymś więcej niż przenosią historyczną. Jest prekursorem wielkiej, nowoczesnej epoki burżuazyjnej, która w dwa stulecia później zmieniła oblicze świata. Konflikty rozdzielające Francję XVI wieku oraz walka i reformy Henryka IV były źródłem form społecznych, doskonałszych od poprzedzających je. Powieść odsłoniła to w pełni i nie ma potrzeby szukać w niej czegoś więcej, zwłaszcza sobowrotów naszych czasów. Nad „Henrykiem IV” ciąży w pewnej mierze brak konsekwentnej socjologicznej wykładni zjawisk historycznych — którą widzimy np. w „Piotrze I” Aleksandra Tołstoja — co zacieśnia jej horyzont historyzoficzny. Kompozycyjna precyzja, klarowność języka, która biograf Henryka Manna Karol Lemke uważa za niedoścignioną od czasów Kleista, wreszcie wysubtelniony do nieuchwytności rysunek postaci i epoki, wymaga osobnego studium i przekracza ramy niniejszego szkicu.

Ostatnim akordem twórczego żywota Henryka Manna był tom wspomnień i rozważań politycznych pt. „Wizerunek stulecia”. W tej autobiograficznej książce pisarz sporządził obrachunek własnego życia i stulecia, któremu nadał kształt artystyczny w swoich powieściach. „Wizerunek stulecia” jest także najgłębszą ze znanych analizą i bilansem niemieckiej emigracji. Jest plonem gorczy wygnania i radości walki, nienawiści do faszystwu i miłości do tego, co służy szczęściu człowieka. Pomimo zastrzeżeń, jakie budzą w niej pewne sformułowania (na temat Napoleona, Bismarcka), pomimo kilku błędów, które

## O PRZEŻYCIU POETYCKIM

Niedawno w dyskusji z pewnym poetą i krytykiem usłyszałam takie zdanie: „ten a ten poeta jest absolutnie nie na poziomie”. Na moje zapytanie, jaki utwór danego poety czytał (wiedziałam, że mój rozmówca nie znał tytułu, w którym ten poeta pisze, i że żaden utwór tego poety nie był tłumaczony na polski) — otrzymałam odpowiedź: „Przetłumaczono mi od ręki, czyli głośno przeczytano po polsku pewien wiersz”.

Często przypomnia mi się to powiedzenie, gdy czytałam utwory niektórych naszych poetów. Nie raz wydaje mi się, że przeczytano im treść jakiegoś odcinka naszego współczesnego życia „tłumacząc od ręki”.

Przeglądając czasopisma radzieckie, w 22 Nr. „Literaturnej Gazety” z dn. 15 marca b.r. znalazłam artykuł wybitnego poety, Mikołaja Gribaczowa, który omawia dzieła poetyckie miesięcznika „Zwiedza” za rok 1949. Wśród krytyk utworów oraz ogólnej oceny poezji w tym czasopiśmie, znajdujemy takie zdanie o cyklu wierszy A. Prokofjewa: „Jednym z braków tego cyklu jest koturnowy patos wprowadzany do codziennego życia, abstrakcyjność idei patriotycznych, oderwanie od realnego życia i walki w ich konkretnych formach...” I dalej, już o innym poecie, A. Gitomircy: „...w wielu wypadkach słowo przestaje być dla autora środkiem wyrazu, zmieniając się w cel sam w sobie lub w swoista zabawę w epitetę”. Analizując następnie drukowane w „Zwiedzie” utwory wymienionych poetów, Gribaczow dochodzi do wniosku, że niedociąganie artystyczne wynikają u nich z małej znajomości tych odcinków życia, o których pisali w danych utworach. Skądinąd utalentowanym i cenionym poetom, gdy zaczęli pisać o rzeczach dalekich dla nich, o czymś, czego nie przeżyli twórczo, zabrakło siły wyrazu artystycznego.

W licznych wypowiedziach o poezji, ogłaszanych obecnie w Związku Radzieckim, znajdujemy wiele ciekawych uwag w artykule Stefana Szczepaczowa („Literaturna Gazeta” Nr. 18 z dn. 1 marca b.r.). Pisząc o przodującej roli poezji radzieckiej, autor stwierdza: „Różnorodną i bogatą tematykę ma radziecka poezja rosyjska. Wszystkie przejawy naszego życia gorąco interesują naszych poetów...” — i dodaje: „...chodzi o to, aby ujawnić nowatorstwo naszych poetów, ich prawdziwe mistrzostwo, realistyczne, głęboko narodowe, oparte na prawdziwej znajomości życia...” Wreszcie, omawiając twórczość współczesnych poetów Szczepaczow stwierdza: „...Im bardziej aktualny jest temat, tym artystycznie lepszy powinien być wyraz. Nasze życie nie może być wyrażone w tych, które na tyle przesycone są treścią, że trzeba naprawdę po mistrzowsku władać ogromnymi środkami wyrazu, by móc pokazać te nowe rzeczy, nie zubożając ich treści ani barw”.

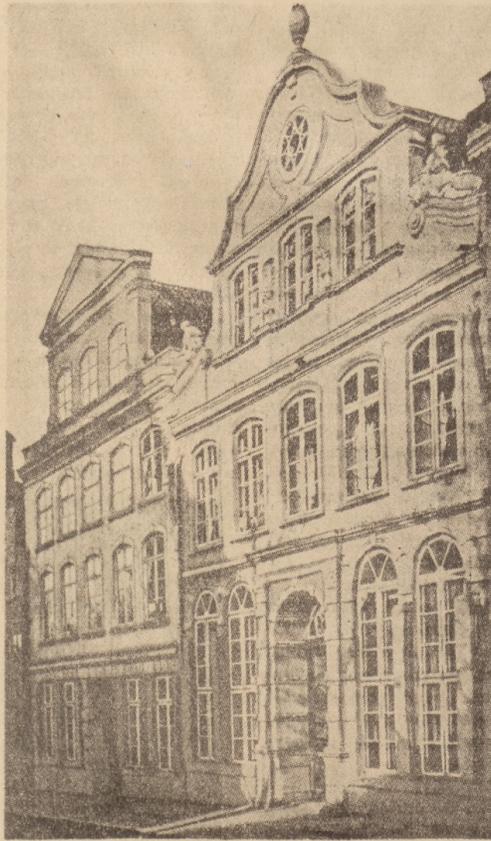
Trudno jest pisać o nowym, jeszcze trudniej o przyszłości, ale najtrudniej, gdy się chce o nim mówić poprzez mało sobie znany odcinek, którego nie może się przeżyć twórczo. Żadne „tłumaczenia od ręki” tu nie pomogą. Toczy się u nas dyskusja na temat poezji, nie raz słyszy się zażarte sprzeczki poetów na temat wyboru poetyki: „Eluard, nie Neruda, ale nie, Majakowski, tak, Majakowski, nie, nie, Elaurd, Neruda itd...” — padają różne nazwiska w różnych konstatacjach. Ale jeszcze nigdy nie słyszałam powiedzenia, że ten lub inny poeta napisał zły wiersz dlatego, że chciał podać rewolucyjną treść poprzez mało sobie znany odcinek życia, lub też, że z powodu obojętności tematu nie mógł twórczo go przeżyć, więc zabrakło mu siły wyrazu artystycznego. Dziś, u naszych radzieckich przyjaciół, którzy mają olbrzymie tradycje poezji rewolucyjnej, właśnie na ten temat dużo się mówi i pisze. Czyż nie warto się zastanowić, w jakiej mierze słaba znajomość tego lub innego tematu wpływa na słaby poziom wierszy wielu naszych poetów?

W artykule „O charakterystycznych cechach przyszłości w poezji” („Kultura i Życie” Nr 6 z dn. 23 lutego b.r.) Mikołaj Gribaczow mówi o poetach, którzy od dawna i dużo piszą, lecz są niewspółmiernie mało znani, stwierdza: „Tłumaczy się to przede wszystkim ich stosunkiem do realnej rzeczywistości i procesu twórczego. Prawdę życia poeci ci bardzo często zastępują jedynie swoimi osobistymi, powierzchownymi komentarzami do niej, a obraz radzieckiego człowieka — opisem własnych odczuć i domysłów”. W tym samym artykule Gribaczow przeciwstawia poemat „Przesady” Eugeniusza Doimatowskiego, znanego i naprawdę cenionego poety — opowiadaniu polskiego chłopca, Władysława Bielskiego. Obaj mówili na ten sam temat — o dzisiejszej wsi ukraińskiej i o perspektywach jej rozwoju. Poeta, dla którego — jak widać z poematu „Przesady” — sprawy wsi nie są dostatecznie bliskie, nie potrafił zauważyć tego najistotniejszego, co tworzy dzisiejszą i będzie tworzyło jutrzejszą wieś. Chłop polski, który spędził zaledwie kilka tygodni na Ukrainie, lepiej potrafił zrozumieć i znaleźć to najistotniejsze.

Wybrałam te cytaty bynajmniej nie przypadkowo. Bo nie tylko w poezji radzieckiej jest aktualna prawda, że wszelkie przejawy życia współczesnego za mało jest znać z „tłumaczenia od ręki”, by twórczo je przeżyć i znaleźć dla nich odpowiedni wyraz artystyczny.

Roman Karst

Anna L. Gniadowska



Dom rodziny Mannów w Lubece

przed wszystkim słynne artykuły: „Jedyna siła” (1935), „Idea, która obiekła się w ciąo” (1937) i „Wielki jest obraz ZSR” (1939). Stosunek Henryka Manna do ZSRR charakteryzują najlepiej słowa napisane po napadzie Hitlera na kraj Rad: „Związek Radziecki może wygrać wojnę, ponieważ przedtem posiadał wielką prawdę. Nie bezsilną prawdę, lecz prawdę żywotną, prawdę istotnego życia urzędzonego zgodnie z najlepszym przekonaniem i z najlepszą wolą, jeśli chodzi o człowieka”.

Ożywiona działalność polityczna i publicystyczna nie odrywa jednak pisarza od pracy artystycznej. We Francji, obok innych powieści, powstaje najdoskonalsze dzieło Henryka Manna, które wieńczy jego twórczość pisarską — „Życie Henryka IV”. Opowieść o francuskim królu hugenotów — pierwsza jej część ukazała się w roku 1936, druga w 1938 — jest najdoskonalszą niemiecką powieścią

rozwoła później życie (odnośnie Churchilla i de Gaulle'a) — „Wizerunek stulecia” był pisany w czasie wojny w latach 1941 - 1944 — wreszcie pomimo niektórych przestarzałych dziś konkluzji politycznych, książka jest przepięknym zwierciadłem, w którym przegląda się niezamącone najmniejszym kompromisem życie wielkiego pisarza, myśliciela i bojownika. „Wizerunek stulecia” jest testamentem przekazyującym potomności niemieckiej słowa bardzo znamienne i doniosłe:

„Nowy człowiek, inne stulecie bierze teraz początek... Wylania się moralny świat, bez precedensu i odpowiednika... On jest już i trwa — trwa dłużej niż rewolucja francuska wraz z cesarzem. Zwycięża społeczeństwo radzieckie, zrodzone z głębokiej świadomości. Ba, więcej: jej zwycięskie poczucie życia ogarnia inne społeczeństwa”.

CELINA BOBIŃSKA

# O PRZEŁOM W NAUCE HISTORYCZNEJ

## Na marginesie narady historyków-marksistów

Nauki humanistyczne, a wśród nich polska nauka historyczna, wciąż jeszcze pozostają w tyle za przemianami politycznymi i społeczno-gospodarczymi, które zachodzą w naszym kraju. Mówiło się o tym i pisało niejednokrotnie. Sytuacja taka z natury rzeczy nie może być zjawiskiem stałym. Nowemu socjalistycznemu społeczeństwu nie może służyć nauka trwająca na starych, burżuazyjnych pozycjach metodologicznych. To też przed polską nauką historyczną, bo o niej tu będzie mowa, stoi zagadnienie zasadniczego metodologicznego przełomu.

Niesłuszne i krzywdzące byłoby nie widzieć wielkiej drogi, jaką przeszła większość polskich burżuazyjnych historyków w ciągu ubiegłych lat powojennych. Uczenci ci włożyli dużo rzetelnej pracy w odbudowę warsztatów naukowych i stworzenie nowych, w organizację nauki na uniwersytetach; przyczynili się do stworzenia szeregu instytutów historycznych, z zapalem i płodnie pracowali nad historią ziem odzyskanych. Widzieliśmy w okresie powojennym, jak większość naszych historyków, zgodnie z nową polityką i geograficzną strukturą Polski, przeniosła punkt ciężkości swych zainteresowań naukowych na ziemie rdzennie polskie i na ziemie odzyskane, zrywając w ten sposób z szkodliwym, nacjonalistycznym i kolonizatorskim kierunkiem zainteresowań historiografii międzywojennej. Ostatnio wielu uczonych zwróciło się ku zagadnieniom gospodarczym. Badania te, niezmiernie płodne metodologicznie dla samego badacza, wzbogacają naukę polską w ogniwach najistotniejszych.

Wszystkie te pozytywne zjawiska są wynikiem potężnego wpływu przemian politycznych i społecznych na kadry naukowe, są wynikiem planowej ofensywy socjalistycznej, prowadzonej przez naszą Partię nie tylko w dziedzinie gospodarczej i politycznej, lecz także ideologicznej.

Istnieje jednak zasadnicze „ale”. Wielestronne wysiłki uczonych: wykłady uniwersyteckie, wydawnictwa naukowe, rozprawy w czasopiśmie (nie mówiąc już o pracach i wydawnictwach PAU), stanowią w treści swej przeważnie liberalno-burżuazyjną produkcję naukową. Prace większości naszych historyków z lat 1945-1950 cechuje burżuazyjny obiektywizm, ekлекtyzm metodologiczny i faktografizm, a więc uciekanie przed syntezą i wartościowaniem w gąszcz biernie konstatacyjnych i chaotycznie nagromadzonych faktów i faktików historycznych. W ogromnej ilości prac poświęconych zagadnieniom ziem odzyskanych, problemom bałtyckim, kwestii niemieckiej w dziejach Polski — daremnie byśmy szukali, obok ogromnego i cennego ładunku wiedzy, jaki dzieła te zawierają, klasowego i historycznego ujęcia. Natomiast dużo by się dało powiedzieć o tendencji nacjonalistycznej, a często i klerykalnej, która — właściwa w mniejszym lub większym stopniu wielu książkom — pomniejsza ich wartość naukową. Poza nieliczną grupą historyków marksistów i lewicowców, odnosi się to do ogromnej jeszcze większości historyków polskich. Ostatnio w środowisku tym dość często rozlegają się deklaracje za marksizmem. Deklaracje te nie pociągają jednak za sobą głębszej rewizji dotychczasowych metod, nie powodują gruntownej pracy nad klasykami marksizmu ani twórczego przyswajania sobie osiągnięć nauki radzieckiej, opanowywania metody marksistowskiej jako metody nauki historycznej. Wynika to często z nieznajomości marksizmu jako nauki i metody, oraz z naiwnego, wulgaryzatorskiego przeświadczenia, że do tego, by zostać marksistą, wystarczy dobre chęci i znajomość politycznego słownictwa prasy codziennej. To też deklarowanie się za marksizmem, które jest oczywiście zjawiskiem pozytywnym, świadczącym o politycznej aktywizacji naukowców, nie może jednak samo przez się wyrugować ideologicznego mętniactwa i ekлекtyzmu, jeśli nie spowoduje w etapie następnym pogłębionej pracy metodologicznej. Teraz zaś często widzimy, jak „marksistowskie laurki”, formułki o „siłach produkcyjnych” i „uwarunkowaniu społecznym” stanowią ozdoby do prac opartych o stare metody (a raczej o brak metody) i zawierających starą treść.

Jednakże faktem niewątpliwym jest ferment ideologiczny, rzeczywiste i poważne zbliżenie się szeregu uczonych do marksizmu, zwłaszcza w pracach o tematyce społeczno-gospodarczej. Z fermentu tego może się wyłonić istotny przełom jedynie pod warunkiem, że postara się o to zorganizowane środowisko marksistowskie, zrzeszenie historyków marksistów; nie da się to osiągnąć bez rozbudzenia twórczej krytyki i samokrytyki, bez podjęcia nieustępliwego walki teoretycznej z przedstawicielami reakcyjnej idealistycznej ideologii na terenie historiografii, ideologii, która nie zaniebując żadnej okazji, aby oddziaływać na ulegającą ekлекtyzmowi środowiska naukowe.

Należy jednak stwierdzić, że dotychczas w życiu historycznym brakło systematycznej działalności ideologicznej środowiska marksistowskiego, brakło czynnika społecznego, który by przyspieszał proces rewizji starych metod u uczonych, którzy wyszli z przedwojennych burżuazyjnych uniwersytetów i z burżuazyjnych szkół historycznych; brakło dotychczas środowiska, które spowodowałoby szybkie przejście ze stadium deklaracji do długofalowej, pogłębionej pracy teoretycznej, które by zainicjowało twórcze dyskusje wykazujące wyższość metody marksistowskiej nad burżuazyjnym ekлекtyzmem.

Za to, że takiego środowiska nie było, że marksistowskie zrzeszenie historyków pozwoliło sobie na półtoraroczny okres organizacyjny, odpowiedzialność ponoszą przede wszystkim partyjni historycy marksści. Przeciwnie prawdziwej wojny marksizm - leninizm dokumentuje swoją obecność przede wszystkim walką z reakcyjną, klasowo wrogą ideologią. Tylko w następstwie takiej walki może powstać twórcza atmosfera krytyki i samokrytyki, w której zdobyć się dla nauki marksistowskiej wartościowe kadry liberalno - burżuazyjnych naukowców, pozytywnie i uczciwie pracujących w ustroju demokracji ludowej.

Jednakże na terenie nauki historycznej panuje dotychczas błogi spokój i nastroj wzajemnej tolerancji. Reakcyjniści tolerują marksistów i... na odwrót. A może nie ma w Polsce na odcinku historycznym przedstawicieli reakcji ideologicznej? Może nie ma u nas bojowych wrogów marksizmu? Taką optymistyczną konkluzję wyklucza bojowa i wręcz agresywna — może bardziej bojowa i bardziej agresywna niż w innych dziedzinach humanistyki — postawa reakcyjnych historyków.

Parę przykładów. W Krakowie dużo pisze i dużo drukuje w „Tygodniku Powszechnym” i w „Przebiegach Powszechnym” o. Jezuitorów prof. Władysław Konopczyński. Historiozoficzne artykuły znakomitego profesora w „Przebiegach Powszechnym” są skondensowanym, jawnym wykładem skrajnie fideistycznego światopoglądu. Pod tym względem są one tak dalece typowe, że mogłyby być podręcznym materiałem źródłowym w studiach nad reakcyjną filozofią historii, nad klasowym zakłamaniem burżuazyjnego obiektywizmu, jego „podnaklasowości”, „apolityczności” itd. Są to często te same „wieczne prawdy”, które przed stu laty zwalczała i wyśmiewała Marks i Engels. Może dlatego wydają się komuś aż tak starożytnie, że nie zasługują na to, by je zwalczać. Ale tak nie jest. Skoro na terenie konkretnej nauki te „wieczne prawdy” stanowią bojowy ładunek idealizmu, oddziałujący na chwytajny, bezideowy, ekлекtyczny grunt, muszą być niestrudzenie demaskowane i zwalczane. Front walki klasowej w formach ideologicznych przebiega przez wiele cieżkich grochów polskich. Mamy więc w artykułach prof. Konopczyńskiego tezy o niepoznawalności i nieosiągalności „prawdy historycznej”, mamy „sąd dziejowy” jako „subiektywny sąd historyka”, podyktowany wyłącznie jego sumieniem, które stanowi ponadhistoryczną i ponadklasową instancję moralną. Oto sam profesor: „owo nieśmiertelne kryterium żyjące w duszy historyka, nieskończenie wyższe, surowsze i mędrze niż zwykłe kryteria obywateli lub stronnictw”. A oto całkowicie „śmiertelny” i klasowy adres owej „instancji moralnej”: zdaniem profesora „talent sędziowski historyka” to „owo dziedziczne kultury jako charakterologiczna predyspozycja z Bożej łaski”. W ten sposób prof. Konopczyński wypowiada się dosyć pesymistycznie co do dalszych naukowych perspektyw młodzieży robotniczo - chłopiejskiej, garnącej się dziś na uniwersytety, gdyż nie posiada ona przecież owej „dziedzicznej

kultury” ani „predyspozycji z Bożej łaski”.

W sposób wybitnie niekonsekwentny — za deklarowaną bezamiętnością nauki historycznej, reprezentowanej przez prof. Konopczyńskiego, następują zgoła przejrzyste wycieczki polityczne w rodzaju twierdzenia (w czwartym roku demokracji ludowej!) że „...dzisiaj historyczną warstwą narodu...powinno się nazywać nie szlachę, ale wszystkie wykształcone żywioły pamiętające historię”. (Zgodnie z duchem czasu odstępstwo od sarmatyzmu na rzecz... wywłaszczonego ziemiaństwa!).

W licznych artykułach prof. Konopczyńskiego w „Tygodniku Powszechnym” ogromna erudycja służy drobnym wycieczkom i aluzjom politycznym. Ofiarą pada elementarna prawda historyczna i ten poziom, który niegdyś osiągnęła polska nauka burżuazyjna. Bo oto, aby napisać, że „dzisiaj mamy społeczeństwo w zaprzęgu, przytłaczające jednostkę ciężeniem masy” — sędziwy uczony na wielu szpaltach gloryfikuje anarchię szlachecką, o której przecież nauka burżuazyjna już dawno wypowiedziała swój sąd. Nieskomplikowana też widać tendencja polityczna musiała poddyktować znakomitemu profesorowi — w pół wieku po pracach Bobrzyńskiego, a także Balcera i Kutrzeby — myśli, że brak silnego państwa w Polsce przedrozbiorowej wynikał z tego, iż „żadnej formy despotyzmu nie pragnął duch publiczny sarmatów, nawiądy do odpowiedzialności za własne losy”.

Jeżeli historiozoficzne artykuły prof. Konopczyńskiego nazwalibyśmy fideistycznymi, to z jego artykułów konkretnie historycznych zalatuje ciasnym klerykalizmem, który sprawia, że artykuły te stanowią paszkwil na wolności, sceptycyzm i antyklerykalne czasy polskiego osiemnastowiecznego Oświecenia, którego gloryfikuje anarchię szlachecką, o której wybitnym znawcą jest przecież prof. Konopczyński. Dowiadujemy się więc, że właśnie w tym okresie, w okresie najbardziej śmiałej walki postępowych ludzi, postępowej opinii społecznej o niezależność polskiej racji stanu od kurii rzymskiej — społeczeństwo „widziało w Watykanie obrońcę przed obcą przemocą”!

W pół wieku po śmiałej i uczciwej książce Smoleńskiego „Przewrót umysłowy w Polsce” — prof. Konopczyński dowodzi, że świeckie, racjonalistyczne i antyklerykalne Oświecenie naród polski zawdzięcza... klerowi katolickiemu. Przy tym znakomity znawca tych zagadnień zapomni o tak drobnym szczególe, jak... wybitnie antyklerykalna, deistyczna a często nawet

materialistyczna postawa naszych wielkich racjonalistów w księżych sutannach. Przemiłcza ten znawca taki „drobiazg”, jak rewolwa tych sukienek duchownych przeciwko watykańskiemu dyktatorowi w ich walce o laickie i racjonalistyczne wychowanie.

Zaduch kruchty, ciasnota obskurantyzmu — oto, co zostało z myśli uczonego, który co prawda nigdy nie reprezentował rewolucyjnego i postępowego prądu w nauce, lecz ma przecież niemałą kartę w historiografii polskiej. W roku Kolałatajowskim, kiedy będziemy się starali wydobyć wielki postępowy ładunek naszego Oświecenia XVIII wieku, należy udaremnić wszelkie próby tworzenia reakcyjnych i klerykalnych legend o tej wielkiej epoce, należy zdemaskować wszelkie próby kanonizacji Kolałataja i Staszica na katolickich świętych za pośrednictwem świętego pióra prof. Konopczyńskiego.

Prof. Karol Górski uczy studentów, pisze i wydaje, słowem — promieniuje na państwowym uniwersytecie w Toruniu. Aby się dowiedzieć, jaką wiedzę zaszczepia profesor nowej, robotniczo - chłopiejskiej młodzieży akademickiej, należy zajrzeć do bojowych antymarksistowskich broszurek, które prof. Górski ze zrozumiałych powodów drukuje w wydawnictwie lubelskiego KUL-u.

Państwu ludowemu zależy na wychowaniu ludzi myślących naukowo, ludzi o głowach otwartych, umiejących oprzeć dociekania naukowe na znajomości praw rozwojowych społeczeństwa ludzkiego. Prof. Górskiemu zależy jednak na czymś zupełnie innym, gdyż bezapelacyjnie twierdzi, że „gdymy historia poznawała pojęcia ogólne, tworzyć by mogła prawa naukowe i odkrywać mechanizm lub układ rządzący światem, tymczasem tak nie jest. Wszelkie próby stworzenia praw dziejowych znalazły się w sprzeczności z bogactwem faktów historycznych” (podkr. moje, C. B.).

Państwu ludowemu pragnie wychować nowe kadry wolne od fideistycznego sztafu i uzbrojone w marksistowską metodę naukową. Zgoła odmiennego zdania jest prof. Górski. „Historiozofie kościółca” przekłada on nad marksizm (bardzo „swoiście” interpretowany): „porównując te ujęcia (mowa o materialistycznym historycznym — C. B.) z teorią czynów ludzkich, jaką daje nauka o lasce, nie można przyznać pod względem formalnym wyższości teorii materializmu. W dzisiejszym swym stanie teoria materializmu dziejowego nie odpowiada w całej pełni wymogom nauki”. (Pisane Anno Domini 1949!) Prof. Górski nie może się chyba

uskarżać na brak tolerancji ze strony Ministerstwa Oświaty, które nie przeszkadza mu w przekształcaniu Uniwersytetu Toruńskiego w drugi uniwersytet katolicki.

Znając już metodologiczne założenia prof. Górskiego, nie zdziwimy się, że sam on radzi sobie z przyczynowością historii w ście szamański sposób, mianowicie przy pomocy kategorii... „fatum”. W pracach historycznych profesora roi się od przerożnych „duchów”. Spotykamy więc „ducha dziejowy”, „ducha narodu” — dobrze znane i mocno złezałe rekwizyty z fideistycznej rupelnicarstwa. A jesteśmy już zupełnie w domu, gdy spotykamy „geniusz rasy”, „ducha rasy”, „duszę niemiecką”, jako ten ładunek „naukowy”, z którym prof. Górski przystępuje do badania stosunków polsko-niemieckich w średniowieczu. Ci postępowi uczeni, którzy w poszukiwaniu naukowego rozwiązania tych zagadnień ześlizgują się na stare torze, przy czym zdarzają się i nacjonalistyczne potknięcia, mają okazję do zaobserwowania dalszych ideologicznych konsekwencji swych błędów przy wejściu w ideologiczną atmosferę książek prof. Górskiego. W jego wyojującym, aspołecznym i ahistorycznym nacjonalizmie czasami prześwieca grymas rasistowski.

Nacjonalizm jest zresztą naturalnym zjawiskiem tam, gdzie problem narodowy chemicznie wyprany jest z wszelkiej problematyki klasowej. Nasza prawica historyczna zupełnie wyraźnie sformułowała swój skrajnie obskurantcki pogląd na stosunek między rewolucją społeczną a walką narodową - wyzwolenczą (dodajmy — pogląd cęfający się daleko wstecz, w stosunku do osiągnięć nie tylko radykalnej, ale nawet liberalnej myśli burżuazyjnej) w następujących słowach prof. Konopczyńskiego: „nie wygłasza się przed narodem, powołanym pod broń na ostateczną walkę, hasła, które by go pchnęły do porachunków wewnętrznych”. Prof. Konopczyński z właściwą sobie obiektywistyczną manierą twierdzi, że nie ma zasadniczej różnicy między tymi co walczyli o niepodległość w sposób rewolucyjny a tymi, którzy zbliżali się do niej przez „wywalczenie autonomii”. W gruncie rzeczy jednak woli on zawsze tę ostatnią drogę, „bo czasem trzeba poświęcić hasło dla rachuby”. „Rachuba” zaś — a więc polityka ugody i targów z zaborcą — stawała zawsze mniej okazji do wzniecenia „porachunków wewnętrznych”, nieprzejmowanych zarówno dla reakcyjnego historyka, jak dla tych historycznych reakcyjnistów, z którymi niezmiernie sympatyzuje. Takie stanowisko konsekwentnie prowadzi do gloryfikacji dmowszczyzny jako jedynej, zawsze rozumnej i zbawczej, polskiej racji stanu. Taką racją stanu miała być polityka ugody z carską Rosją. Mamy tutaj konserwatywny krakowski jako „bazę naukową” dla lansowania endeckich świętości, a wszystko to w sosie odwiecznego i nieprzemijającego konfliktu polsko-niemieckiego i zawsze jednakoży potrzeby „ugody z Rosją”, to znaczy z caratem.

Kilka lat temu tzw. „neopozytywiści katolicki” wysuwali tę endecką koncepcję dowodząc, że Polska Ludowa jest... spadkobierczynią Wielopolskiego i Dmowskiego. Za cenę skompromitowania rewolucyjnego sojuszu Polski Ludowej z rewolucyjnym Związkiem Radzieckim chcieli „pojednać” reakcyjne mieszczaństwo z demokracją ludową. Publicystyka partyjna wykazywała wówczas wybitnie reakcyjny sens takiej „koncepcji”. A dziś te samą koncepcję nasza prawica historyczna utrwała w wielotomowych dziełach obwarowanych wszystkimi akcesoriami naukowości.

Typowym zjawiskiem pod tym względem jest trzytomowe dzieło prof. Stałkowskiego o Wielopolskim, poświęcone gloryfikacji tego reakcyjnego, rzesznika obszarniczej ugody z caratem, małgo i nieudanego polskiego Bismarcka. Nie wiadomo, czemu bardziej dziwić się w tej książce. Czy kategoriom, którymi autor operuje, czy feudalno - magnackiemu klimatowi dzieła, mającego widocznie być pomnikiem warstwy, która tak długo ciężyla na rozwoju narodu, czy wreszcie konsekwentnie wrogiej czarnocseinnej postawie wobec wszystkich, co w naszej historii było rewolucyjne i postępowe, przede wszystkim zaś wobec elementów rewolucji chłopiejskiej. Jest to hagiografia jednej z najbardziej reakcyjnych postaci naszej historii nowożytnej, postaci stancjącej drugą po Dmowskim świętością dla jeszcze istniejących endeckich środowisk. Książka Stałkowskiego nie doczekała się dotąd właściwej krytyki i oceny ze strony naszej lewicy historycznej.

Bojowa postawa i aktywność tego reakcyjnego obozu — obok ekлекtyzmu, obiektywizmu, niezdecydowania w kołach liberalno - demokratycznych historyków — to te momenty, które w swej pracy muszą uwzględniać historycy - marksści. Dodajmy, że wszystkie grzechy liberalno - burżuazyjnej nauki, a także oddziaływanie reakcyjnych historyków ma miejsce na uniwersytetach, w nauczaniu młodzieży. To znaczy, że po latach trzeba będzie odrabiać to, czym się jeszcze dzisiaj zaśmieca głowy studentów.

Walka o przełom na odcinku historycznym, to przede wszystkim walka o nowe kadry historyczne, a także o zdobycie bez reszty wszystkich starych wartościowych kadr naukowych. W walce tej niedopuszczalnym byłby jakikolwiek kompromis ideologiczny. Podejmując teoretyczną walkę z feudalnymi rezerwatami w nauce historycznej, należy porzucić rozpowszechnione w marksistowskim środowisku rachuby na to, że przełom w nauce „zrobi się sam” pod wpływem ogólnego rozwoju ku socjalizmowi. Należy rozpocząć planowe oddziaływanie na środowiska historyczne. Nie robi się tego bez marksistowskiego przewartościowania polskiej burżuazyjnej historiografii, zwłaszcza tych jej ogniw, które najgłębiej oddziaływały na ogólny rozwój i kierunek nauki polskiej. Niezbędna więc jest marksistowska krytyka szkoły krakowskiej oraz historiografii międzywojennego dwudziestolecia. Trzeba wykazać nacjonalistyczne tendencje tej historiografii, jej wrogosć wobec polskiego ruchu rewolucyjnego, jej antybolsewizm. Trzeba zdemaskować endeckie, pilsudczykowskie i prawicowo-socjaldemokratyczne legendy, które zaważyły na ujmowaniu historii dru-

## HUGO KOLAŁATAJ 1750 - 1950

...Mogliście za pomocą Interregnów i waszego nieładu utracić większą połowę Polski, oddać w niewolę sąsiadom waszym tyle milionów ludzi a rozumiecie, że z waszym feudalnym Rządem, z małą garstką Szlacheckiego Stanu ocalicie resztę przestraszonego i nieczemnego Narodu? Czyńcie co chcecie, odwołujcie się do waszych Przywilejów, rozmyślajcie nad prerogatywami waszej feudalności, ja wam śmiało przepowiem, że ziemia w której jest przeszło siedm milionów niewolnika, a która jest nakoło despotami otoczona, wolną być nie potrafi.

Niech ta ziemia, którą opatrna ręka włości ludzkiej przeznaczyła, nie cierpi więcej w łonie swoim najlichszego niewolnika, niech najbogatszy i odkryty wielkością obywatel odda hołd powszechny Opatrzności szanując ludzkość w najuboższym rolniku. Niech się raz aby na tym pozna, że cała jego okazałość i zbytki są darem nędznej wieśniaka ręki, że cała jego wspaniałość ubogiego ludu świetnieje potem, ten to krwawy pot z łzami i uciskiem zmieszany położył tak wielką różnicę kondycji, obudził zuchwałosć Stanów, żeśmy prawie zapomnieli nakoniec, iż jesteśmy podobnej natury ludzie, i równej podlegli nędzy. Ten to jęk uciśnionych ściga podobno z wysoka okropne na Naród nasz plagi, poddając nas wstydliwemu upodleniu i dependencji obcej za tak wielkie upodlenie, które natura ludzka w naszem ponosi prawodawstwie.

Wiemy dobrze, iż nakoniec rolnik w dobrach szlacheckich stał się rzeczą dziedziczą, a niezrozumianym ludzkości zgwałceniem, przestał być osobą przeciw oczywistemu natury głowowi. Oddany na dyskrekcję pana, zostawiony pod legalną, jeśli tak mówić można, niewolą, porównany z bydłętą, doznawał takiego losu, na jaki uprzedzenie, edukacja, czystość i pasje dziedziczą wystawić go mogli.



Duchowieństwo zakonne będąc wcale osobno od świeckiego tak co do karności i cnót przydałkowych, jak co do zwierzchności krajowej zupełnie obce, lubo nie jest szkodliwe dla rządu, jest przynajmniej szkodliwe w edukacji z tej najbardziej przyczyną, że

...fundusze zakonników nie czynią tej wysługi, która się z nich krajowi należy. Czemużby więc Komisja za zniesieniem się z zwierzchnością przyzwoitą nie miała użyć pewnej części tych funduszy na edukację publiczną.

Na próżno ten prawodawca zamyslał o trwałości i dobroci rządu, który go na niesprawiedliwości usiłuje zakładać. Powróćmy to co się należy, naturze ludzkiej, a śmiało potem przystąpić możemy do tych warunków, które są potrzebne dla zaszczepienia cnoty i dla ozdoby rządowej.

Nie masz nic okropniejszego na naród, jak gdy ten postrzega się być w takim położeniu, iż ginie przez utratę imienia własnego. Naród cały wpadając w jarzmo despoty, ma nadzieję, iż kiedykolwiek wydzwignąć się potrafi przez zbieg okoliczności i własne oświecenie. Lecz jakim sposobem naród podzielony, naród tracący swą egzystencją, wolność odzyskać zdoła? Tracąc całość, traci siły, staje się zupełnie obojętnym względem pierwiastkowej Ojczyzny, traci przyjemność spólnego dobra, zgoła staje się wcale innym ludem, nabiera innych obyczajów.

Przez jakąż zuchwałosć możemy sobie przywłaszczać nad ubogim rolnikiem udziałnie i niepodległe panowanie, a do tego jak sprzecznym sercu uczciwemu człowiekowi ośmieli się być despotą osoby drugiego i gwałcić to prawo, którego w sobie więcej niż żrenicy oka przestżega.

giej niepodległości. Pod tym względem wyprzedzili nas czeszy historycy marksistoi i czas już nadrobić opóźnienie.

Naszym też obowiązkiem jest — i w tym także marksistów nikt nie wyręczy — uwytknienie postępowych tradycji w polskiej nauce historycznej. Trzeba pokazać, jak postępowi historycy polscy dążąc do prawdziwie naukowego oświecenia procesu historycznego zajmowali postawę zdecydowanie antyklerykalną i demokratyczną. Trzeba wydobyc ten nurt w polskiej nauce burżuazyjnej, który wbrew oficjalnej tendencji szukał podstaw procesu historycznego w podłożu społeczno-gospodarczym, nie zamykał oczu na walkę klasową i żywiołowo zbliżał się do marksizmu. Wydał przecież ten nurt historyka tej miary co Rutkowski. Czas też wydobyc bogatą tradycję polskiej marksistowskiej myśli historycznej w warunkach izolacji i wrogości ze strony nauki oficjalnej polscy marksistoi w swych pracach naukowych oraz w bogatej teoretycznej publikacji SDKPiL i KPP walczącej o nowe pojmowanie polskiego procesu historycznego, przyswajali postępowym elementom naszego społeczeństwa dzieła klasyków marksizmu. Pomimo wszystkich błędów popełnianych przez tych pionierów polskiej marksistowskiej nauki historycznej, ich walka z postawą, ich stała walka z świadomością burżuazyjną winna być dla nas wzorem.

Krytyczny przegląd należy się też polskiej powojennej produkcji historycznej. Ujawniając kosmopolityzm i nacjonalizm w historiografii burżuazyjnej poprzednich okresów, nie należy zamykać oczu na to, że to i inne „grzechy główne” idealistycznej nauki pokutują również w historiografii dzisiejszej. Przygotowania do Kongresu Nauki stwarzają warunki dogodne do podjęcia jakiegokolwiek rewizji naukowej.

Stosowanie zasad krytyki i samokrytyki należy jednak przede wszystkim rozpocząć od rzetelnej oceny własnego, marksistowskiego środowiska i własnych sił. Poszczególni historycy marksistoi i lewicowcy, porozuczani w rozmaitych ośrodkach, pracujący często w osamotnieniu i w pojedynkę, mają duże osiągnięcia w pracy pedagogicznej i naukowej — badawczej oraz w przyswajaniu sobie metody marksistowskiej. Siły te jednak nie były zjednoczone. Poddając się naciskowi wrogiej ideologii, zwłaszcza w tych środowiskach uniwersyteckich, w których nacisk ten był szczególnie silny, ułożyliśmy sobie stosunki z nauką burżuazyjną na zasadzie wzajemnej tolerancji, zapominając, że walka ideologiczna jest naszym naukowym i partyjnym obowiązkiem. Tak jak nie było planowej i przemysłowej walki z wrogimi poglądami, nie było też planowej walki o światopogląd młodych kadr naukowych i studentów, o ich przyszłą fizjognomję ideologiczną. Mówiło się, i słusznie, że decydujące znaczenie dla przełomu w nauce historycznej będą miały poważne prace naukowe historyków marksistów. Jeżeli jednak prac takich właściwie dotąd nie mamy (co w dużym stopniu spowodowane jest fatalną organizacją pracy marksistów) — to czyż mamy czekać z ofensywą marksistowską aż do momentu, kiedy się takie prace ukazażą? Nie trzeba lekceważyć publiczności naukowej jako narzędzia walki ideologicznej. Artykuły z uzasadnioną krytyką burżuazyjnej nauki, oraz tworzące rozprawę w czasopiśmie, dyskusje na konferencjach naukowych — to dziś najbardziej aktualne i dostępne formy oddziaływania.

Przystępując z dużym opóźnieniem do organizacji zrzeczenia historyków-marksistów, do planowej pracy w środowiskach historycznych — należy trzeźwo zdać sobie sprawę z naszej niedojrzałości teoretycznej. Zrzeczając naukowców reprezentujących rozmaity stopień opanowania metody marksizmu-leninizmu, nie stanowiąmy jako kolektyw dojrzałego zespołu marksistowskiego — i pod tym względem ambitna nazwa naszego zrzeczenia mówi raczej o tym, że terminujemy w szkole marksizmu-leninizmu. Okoliczność ta nie zmniejsza jednak naszych zadań i naszej odpowiedzialności. Stąd wniosek, że podejmując walkę o przełom w polskiej nauce historycznej musimy sami pracować poważnie nad własnym uzbrojeniem teoretycznym, nie szczędząc sobie koleżeńskich krytyki.

Świadectwem naszej niedojrzałości teoretycznej jest rozpowszechniony wśród lewicowców i „terminujących w marksizmie” historyków ekonomizm, swoisty materializm ekonomiczny oraz rozmaite aspekty mechanicznego, uproszczonego ujmowania procesu historycznego. Często zdarza się, że baza ekonomiczno-społeczna przedstawiona jest jako empiryczne wyciekanie faktów ekonomicznych bez ujęcia ich w typowe procesy i zjawiska. Nierzadko spotykamy niezrozumienie społecznego charakteru stosunków wytwórczych jako stosunków ludzkich, zastępowanie ich opisem technologicznym, ilościowymi wskaźnikami rozwoju techniki itd. W takim ujęciu zatraca się ludzi i walkę klasową, procesy zaś polityczne i ideologiczne wywodzą się bezpośrednio i mechanicznie z chaotycznie ujętego podłoża ekonomicznego. Te błędne ujęcia towarzyszą często płodnym zainteresowaniom dla historii gospodarczo-społecznej. Należy popierać ten kierunek badań i zainteresowań, a zwalczać wspomniane obciążenie metodologiczne, które ma często miejsce, jak to niejednokrotnie wskazywali klasyki marksizmu przy szybkim i powierzchownym rozpowszechnianiu się idei marksizmu.

Środowiska marksistowskie powinny zainicjować systematyczne dyskusje i omówienia dzieł klasyków marksizmu-leninizmu. Od Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina musimy uczyć się zrozumienia procesu dziejowego jako procesu rewolucyjnego. Należy studiować i omawiać prace historyków radzieckich, w których metoda marksistowska znalazła już świetne zastosowanie.

Tylko podnosząc własną sprawność teoretyczną będziemy mogli podjąć walkę ideologiczną na odpowiednim poziomie, będziemy mogli przyczynić się do stworzenia twórczej i koleżeńskiej atmosfery krytyki i samokrytyki.

Walcząc o przełom w naszej nauce historycznej należy w taki sposób, aby przeprowadzić na nasze pozycje teoretyczne wszystkich uczelni pracujących historyków polskich, nie odrzucając i nie zrażając nikogo z uczonych rzeczywiście wartościowych, a z Wydziałów Humanistycznych naszych wyższych uczelni uczynić kuźnię kadr marksistowskich.

Celina Bobińska

ANDRZEJ KIJOWSKI

## W walce o nową tematykę

Ukażę się dwie książki Stanisława Kowalewskiego: powieść o sanacyjnej szkole p. t. „Niedostatecznie”<sup>1)</sup> i tomik opowiadań p. t. „Odzyskany świat”<sup>2)</sup>. Pierwsza z wymienionych pozycji chronologicznie wcześniejsza nie zaspakajająca oczekiwań czytelnika zasugerowanego rodzajem podjętego tematu. Późniejszy natomiast skromny rozmiarom tomik opowiadań świadczy o znacznie szerszym zakresie doświadczeń, wyższym stopniu dojrzałości ideologicznej pisarza i przebytej przezeń drodze rozwojowej.

Uskarżając się pisarzowi na zawód, jak nam sprawił swoją powieścią, musimy zwierzyć mu się z rodzaju naszych oczekiwań. Sprawa jest prosta: Kowalewski jest pisarzem, który, należąc do pokolenia młodzieży, wstającego w warunkach sanacyjnego reżimu, ma już dziś możliwość korzystania z ogromnej perspektywy historycznych doświadczeń, dostarczonych przez wojnę i powojenne przemiany społeczno-polityczne. Dlatego właśnie mieliśmy prawo oczekiwać od niego tak oceny systemu wychowawczego, stworzonego przez faszystowską taktykę sanacyjnego reżimu, jak i charakterystyki tego pokolenia inteligentnej młodzieży burżuazyjnej, której powieść dotyczy.

Tymczasem krytyczny stosunek Kowalewskiego wyraża się tylko w tych wymiarach w jakich swą wyższość nad szkołą i oddalenie od niej odczuwa opuszczający ją maturzysta. „Nauka gimnazjalna była ukończona. Wstępował w nowy etap życia. Czy był do tego przygotowany? Odwracając rolę, do której przywykł przez długie lata szkolne, Marek zaprzagnął nagle postawić ocenę tej szkole i systemowi, który go miał wychować i przygotować do życia. Chciał być sprawiedliwym. Oskarżał i bronił równocześnie. Lecz wynik nie podlegał wątpliwości — było nim wielkie, niezbitne, oskarżające „niedostatecznie” (str. 235). Kryteria tej oceny i argumenty zestawione na jej poparcie, ani na krok nie wybiegają poza zakres skromnych doświadczeń społecznych ucznia VIII klasy gimnazjum państwowego w Mroczkach pod Warszawą — ucznia, przy którego nazwisku w katalogu, w rubryce „zawód ojca” figurowało „adwokat”.

Jakież były argumenty, pojęcia i doświadczenia Marka, które wpięrow upoważniły go do wyrażenia swej zgody na program reżimu, a później do całkowitego z nim zerwania? W momencie wstępowania do „Straży Młodych” Marek brał za program sanacji okrągłe frazesy instruktorów, w momencie zaś swego protestacyjnego wystąpienia wyobrażał sobie zło reżimu na wzór pewnego incydentu na obóz szkoleniowy, gdzie instruktorzy kradli, a podopiecznych pociągano za to do odpowiedzialności, i na wzór sprawy Hryńca — komunisty, w którego uwieszeniu dopatrywał się tylko krzykzącej niesprawiedliwości, nie zaś oczywistego objawu walki klasowej. Pojęcia więc i doświadczenia Marka były bardzo cząstkowe i błędne, ale jednocześnie trafnie scharakteryzowane, jako typowe dla inteligentnej młodzieży. Autor winien był jednak drogą skonfrontowania tych pojęć z szerszym obrazem społecznych konfliktów wykazać ich cząstkowość i zależność od bezideowego wychowania burżuazyjnego. Tymczasem

1) Stanisław Kowalewski: „Niedostatecznie” Powieść, „Czytelnik”, 1940 Str. 235+1 nrb.  
2) Stanisław Kowalewski: „Odzyskany świat”, Książka i Wiedza, W-wa, 1949, Str. 159+2 nrb.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

## KAFAR

Jastrzęb lotny, którego strzała nie doścignie zakłęty metaforą zamienia się w chmurę, z chmury

w młot.

Dłoń robocza naciśnięła dźwignię: młot poderwał się ciężko i pofrunął

w górę.

Wznosi się!

— Ludzie za nim gonią czujnym wzrokiem wsparci o maszt, co nigdy nie zasumi żaglem, a młot

wśród chmur się staje rudawym obłokiem, by znów gromem jastrzębia na łup

runąć nagle.

Oto zwyciężajny kafar, zwykli robotnicy w porcie, gdzie każdy obraz powtarzają fale...

— Rośnie wam kraj poci! Pal nowej granicy człowiek z dłonią na dźwigni wbija

w dno

zuchwale!



foto — Dorys  
Stanisław Kowalewski

dzieje się inaczej. Charakteryzując bowiem w szerszej skali środowisko młodzieży gimnazjalnej pokazuje Kowalewski jeszcze szerszy zakres pojęć politycznych i jeszcze prymitywniejszą reakcję na działanie systemu. To, co uczniowie VIII klasy nazywali sanacją, to były despotyczne rządy dyrektora Szczepaniaka, państwotwórcze mowy Klenta — apostoła reżimowego na terenie gimnazjum, groteskowe obchody majowo-listopadowych rocznic, „Obrońca Częstochowy” i legenda warszawskiego przepychu. A jedyną ich bronią i metodą samoobrony był chyba tylko śmiech — odwieczny sprzymierzeniec ucniaków. „Nie dać się” — wołał przewodnik klasy, cyrkowicie Kowalski i chłopcy na sanacyjną „lipę” odpowiadali „zgrzywą”. Traktować cokolwiek na serio było w złym tonie. I jeżeli charakterystyka ta jest i w tym punkcie słuszna, to znów brak konfrontującego ją z jej klasowym charakterem komentarza stwarza fałszywą sugestię. Sugestia, wyrażająca się tym, że sanacja przegrała, że zdrowy rozsądek i instynkt młodzieży potrafił się oprzeć złej metodzie wychowawczej. A tymczasem było inaczej. Gdyby bowiem Kowalewski ocenił to pokolenie młodzieży z dłuższego dystansu historycznych doświadczeń, musiałby wskazać na ten przynajmniej moment, że butarska błazenada uczniów gimnazjum nie była jakimś świadomym protestem, ale po prostu jeszcze głębszym, niż u starszego pokolenia inteligencji mieszczańskiej stopniem ideologicznej dezorientacji. Dla znaczenia tego dystansu nie wystarczy postać Hryńca — komunisty, po pierwsze dlatego, że brak mu zupełnie jakiegokolwiek dynamiki, wyrazistości, a tym samym oddziaływania a po drugie dlatego, że Marek Działyński, który tym tylko się różnił od swego środowiska, iż dezorientacja jego była bardziej uporządkowana, a reakcja znacznie rozsądniejsza, w momencie swego wystąpienia ze „Straży” prawie zrównuje się z Hryńcem, że Danką Rumińską wyrzuconą ze szkoły za niewydanie autorów nieprawomyślnego „Pele-mele” urasta do rozmiarów bohaterki, że Kowalski rozbijający kalamazro, przy chorałnym wyrzaskiwaniu litanii do sanacji otrzymuje jakiś prawie rewolucyjny nimb.

Nie napisał więc Kowalewski realistycznej powieści. Napisał natomiast pamiętnik abiturienta — nie w dosłownym sensie, lecz w sensie solidarności z bohaterem i utożsamienia się z nim. Wszystkie bowiem błędy wynikają właśnie z braku krytycznego dystansu. Wszystkie błędy ideologiczne. Przypatrzmy się teraz, jak tenże sam brak dystansu zaważył na konstrukcji i stylu powieści, jak formalnie również sprawdza się nasz termin „pamiętnik abiturienta”.

A więc po pierwsze: identyfikacja wiedzy autora z wiedzą i narracyjnymi możliwościami bohatera. Autor przytacza tylko te zdarzenia, których świadkiem lub uczestnikiem był Marek. Rezygnuje z analizy psychologicznej postronnych osób, unika pogłębiania ich obrazu o fakty, których nie mógłby Marek znać i interpretować. Wreszcie sama postać Marka przedstawiona jest w ogólnikach, mieszczących się w ramach autoanalizy. A zatem powieść, jakkolwiek opowiedziana w trzeciej osobie, skonstruowana jest na zasadzie narracji w pierwszej osobie. Tak właśnie wyglądałby pamiętnik Marka lub jego pomaturalne wspomnienia.

I po drugie: osobliwym fluktuacjom ulega styl. Tam, gdzie mowa o szkole, o profesorach, o uroczystościach narodowych — jednym słowem o sanacyjnym bezsensie — styl staje się cięty, drwiący, upraszczający i ośmieszający, taki, jakim zapewne Marek wpisywał swoje kpiny do gimnazjalnego almanachu satyrycznego „Pele-mele”. Gdzie zaś pojawia się Danką, Marek ulega nastrojom, wzruszeniom — styl nabrzmiewa od zupełnie młodopolskiej pseudo-lyryki, tułającej się zwykle po szubackich pamiętnikach.

Oczywiście nie chcemy przez to powiedzieć, że „Czytelnik” wydał pamiętnik Marka Działyńskiego, który podszedł się pod nazwisko Stanisława Kowalewskiego, ale chcieliśmy wskazać na to, jak bardzo i jak za bardzo Stanisław Kowalewski utożsamiał się z Markiem Działyńskim. A raczej, jak nie umiał, czy nie mógł wyprzedzić go w ideologicznej dojrzałości. A skutkiem tego, dając trafną charakterystykę szkoły sanacyjnej, pokazując wewnętrzne sprzeczności reżimu — nie umiał czy też nie mógł ocenić krytycznie owego pokolenia młodzieży inteligentnej i pokazać jej na szerokim tle typowych dla owego okresu konfliktów społecznych. W ten sposób nasze oczekiwania zostały spełnione tylko w połowie — i to w „mniejszej połowie”.

Przejdźmy teraz do opowiadań. Powieść, dzieliliśmy, że tomik „Odzyskany świat” obrazuje nam drogę rozwoju pisarza. Mając już za sobą omówienie powieści Kowalewskiego, możemy sobie pozwolić na przedłużenie tej drogi także na owe powieściopisarskie próby — oczywiście przedłużenie wstecz. Te same bowiem ujemne cechy pisarstwa Kowalewskiego odnajdziemy w opowiadaniach, co i w powieści, z tym, że najjaskrawiej występują w „Niedostatecznie”, będąc stopniowo ulegać stiumieniu i oczyszczaniu.

Na pierwszy plan wysunie się przede wszystkim jakaś organiczna wada bohaterów, polegająca na oderwaniu świadomości i zachodzących w jej obrębie procesów od podłoża konkretnych warunków, co w skutkach daje — żeby tak powiedzieć — jakąś mitologię przełomów ideologicznych. Obserwujemy: Marek doznał zawodu miłośnego, więc wstąpił do „Straży Młodych”. Wyrzucili ze szkoły jego przyjaciela Hryńca, więc wystąpił ze „Straży Młodych”. Przy czym jeden i drugi moment charakterystycznie Kowalewski, jako zasadniczy, przemysłany przełom w systemie pojęć Marka. Joanna z opowiadania „Niepamięć” w jakimś najmniej oczekiwanym momencie zwraca się ku temu światu, o którym chciała zapomnieć i od którego chciała uciec. „Gruby Janek” z opowiadania „Ludzie odzyskani” staje pewnego dnia przy warsztacie i od tam był szef szajki waluciarzy i szabrowników staje się typem socjalistycznego robotnika, prezesem Rady Zakładowej, którego stawia się za wzór załadowe. Urzędnik Z. z opowiadania „Mgła” w jednej chwili decyduje się wskazać milicjantom zabójców nauczyciela-peperowca, a decyzyja ta w świadomości tego „umiarkowanego demokraty” miała „w sekundach zmienić jego stosunek do ludzi i świata”.

Czy żaden z tych wypadków nie mógł się zdarzyć? Nie, mogły się zdarzyć wszystkie i nie oskarżamy wcale Kowalewskiego o to, że poluje na fenomeny, ale o to, że pominał prawie zupełnie motywację tych zdarzeń. Pominał cały ciąg wydarzeń i przemyśleń, który mógł dopiero decydować o stosunku do ludzi i świata, uprościł całość warunków i doświadczeń, na których podłożu powstać i rozegrać się mogły przytoczone konflikty wewnętrzne bohaterów. Pominięcia i uproszczenia — oto nazwa błędu. A gdyby wskazać jego źródło? Niedialektyczna mitologia wewnętrznych rozterek.

Ten niedostatek wiedzy o ludziach i kształtujących ich świadomości warunkach odbija się na formie opowiadań w ten sam sposób, jak pełna solidarność z bohaterem na konstrukcji powieści „Niedostatecznie”. Wszystkie wymienione opowiadania napisane są w pierwszej osobie: „Niepamięć” w formie fragmentów pamiętnika Joanny, „Mgła” w formie listów do przyjaciela, a „Ludzie odzyskani” w formie dwóch relacji: przez większą część opowiadania wspomina narrator — jak gdyby autor — swoje spotkanie z „Grubym Jankiem” w melinie waluciarzy, a powojenne dzieje jego i zasadniczy moment przełomu streszcza narratorowi głównemu inżynier, zaś

relacja ta mieści się na dwóch stronach druku. Mamy więc do czynienia z nadmiernym i zniekształcającym obrazem spraw lakonizmem — lakonizmem, wypływającym z niedostatków wiedzy autora o świecie, a usankcjonowanym narracją w pierwszej osobie i wypływającymi stąd licencjami.

Pozostaliśmy chwilę przy tym lakonizmie. Jeżeli bowiem zwrócimy uwagę na nieomówione dotąd opowiadania „Mistrz” i „Krawiec”, odnajdziemy lakonizm, jako pewną założoną formę stylizacji opisywanych zdarzeń. W pierwszym wypadku beznamienita relacja obserwatora o dziwnym wydarzeniu na jarmarku służy właściwej ekspresji — surowy opis w miejsce niepotrzebnego komentarza jakąś „odlirycznia” współczucie dla pokonanego mistrza. A znów opowiadanie „Krawiec”, gdzie nie dzieje się właściwie nic — chłopcy idą się kąpać, nagle wszystkim się zdaje, że najmłodszy się utopił, a tymczasem wcale się nie utopił — stylizacja i udziwnienie tego zdarzenia polega tylko na układanie lakonicznych opisów. W tych więc opowiadaniach forma lakonicznej relacji, pozbawionej jej komentarza spełnia zupełnie pozytywną rolę, ta sama jednak forma zastosowana do opowiadań o wyraźnych ambicjach realistycznych zawodzi — i szkodzi. Rezygnacja z wszechwładzy autorskiej staje się oznaką niewiedzy.

✱

Tomik „Odzyskany świat” zamyka opowiadanie „Walka klas”. Na poprzednich utworach Stanisława Kowalewskiego obserwowaliśmy konsekwentną walkę z własnymi błędami i niedostatkami ideow-artystycznymi. Można było więc przewidzieć, że autor idąc od swego pierwszego „Niedostatecznie”, aż do takich, bądź co bądź ambitnych opowiadań jak „Mgła” i „Ludzie odzyskani”, próbując coraz to innych form i tematów znajdzie ostatecznie właściwy wyraz dla pasjonującej go problematyki współczesnej. W ostatnim swym opowiadaniu wpadł wreszcie na szczęśliwy pomysł. Wciągnął do współpracy nad tworzeniem opowiadania prawdziwych, żywych ludzi, kazał im w swoim zastępstwie przemówić własnym językiem, opowiedzieć autentyczne wypadki. Skonstruował swoje opowiadanie w formie jak gdyby szeregu zeznań, albo lepiej w formie wywiadu. Rezultat jest zupełnie rewelacyjny, i to tak w obrębie własnych kłopotów pisarskich Kowalewskiego, jak i na terenie społecznej literatury polskiej. Rewelacyjność tego opowiadania w obrębie własnych kłopotów tłumaczy się pokonaniem wszystkich, lub prawie wszystkich dawnych błędów i uzupełnieniem niedostatków. Rewelacyjność na terenie najnowszej literatury polega na przelamaniu tej granicy, dzielącej naszą prozę artystyczną od autentycznej socjalistycznej codzienności. Ale jak się to stało?

Od poprzednich utworów Kowalewskiego wyróżnia się „Walka klas” całkowitym odcieniem się od wszelkiej mitologii rozterek, autor stawia nam przed oczyma szereg jasno i jednoznacznie zarysowanych typów, ale jednoznaczność ich polega nie na tym, że tak opisuje tych ludzi Kowalewski, lecz na tym, że bohaterowie „Walki klas” sami mówią o sobie językiem faktów, warunków, które stwarzały i które z kolei przekształcały ich świadomość. Odbudowa fabryki, dramatyczna walka z sektorem kapitalistycznym o jej utrzymanie, praca nad podniesieniem jakości i ilości produkcji, praca szkoleniowa, wychowawcza, awans społeczny młodzieży robotniczej itd. — oto faktyczne, autentyczne rzeczywistości tworzące nowego człowieka, przytoczone na tym miejscu z całym bezpieczeństwem historycznej sprawdzalności, zamiast dowolności i mitologicznych konstrukcji z poprzednich opowiadań.

Wyjście z kręgu rozterek na teren faktów odbiło się oczywiście i na stronie formalnej opowiadania. Odbiło się korzystnie, ale też i trochę niebezpiecznie. Forma zeznań, czy też dziennikarskiego wywiadu zwoleńna go zupełnie z ciężkiego mu i przedtem obowiązkowym komentarza, zwołując zaś w ten nowy sposób, udzieliła mu nowych licencji. Nazwanie tych licencji jest łatwe: są to licencje reportażu. Zasadniczym ich punktem jest właśnie to, co tak dotąd przeszkadzało Kowalewskiemu: zwolnienie z komentarza drogą maksymalnej autentyczności przytoczonych relacji. (Celowo powiadamy „autentyczność”, bo jednak Kowalewski dokłada spory pierwiastek literackiej fikcji, podszycając się pod swoich rozmówców). A zatem zwycięstwo pisarza na terenie swych formalnych kłopotów jest zwycięstwem defensywnym. I możemy od razu powiedzieć, że ta zwycięska defensywa nie jest jakimś odosobnionym wypadkiem, ale faktem bardzo typowym dla aktualnego etapu rozwoju najnowszej twórczości literackiej w Polsce — etapu rozrachunków z błędami i przewartościami przyjętymi z tradycji pojęć „Walki klas” jest jakby jeszcze jednym wystąpieniem samokrytycznym pisarza, o tyle owocniejszym, że na terenie konkretnego osiągnięcia artystycznego.

O tyle więc rozumiemy konieczność opowiadania „Walka klas” w twórczości Kowalewskiego, o ile rozumiemy konieczność okresu rozrachunków i przewartościowań w rozwoju nowej literatury. Ale tak, jak oczekujemy od pisarzy przejścia od etapu samokrytyki do wyciągnięcia z niej wniosków w dalszej twórczości, tak oczekujemy od Stanisława Kowalewskiego przejścia od defensywnej stylizacji na reportaż, do ofensywnego, odważnego konstruowania własnej wizji świata. Oczekujemy, po fazie „oswajania” wielkiego tematu, na odcieplenie go.

Andrzej Kijowski

Władysławowo 1949 r.

RYSZARD MATUSZEWSKI

# O poezji Tadeusza Kubiaka

WIKTOR WOROSZYLSKI

I M I E

Synowi

Pierwszy tom poezji Tadeusza Kubiaka „Słowo pod żaglem” ukazał się nakładem TUR na początku roku 1948, wkrótce potem „Prasa Wojskowa” wydała poecie drugi zbiór p.t.: „Żołnierze i robotnicy”, zawierający poematy „Dwaj żołnierze” i „Narodziny epoki”. W r. 1949 pojawił się nakładem „Książki i Wiedzy” tom trzeci p.t. „Człowiek jest blisko”. Od lipca 1949 r. (data oddania ostatniego zbioru do druku) pojawiło się w czasopiśmie kilka wierszy i poematów Kubiaka, które, omawiając dziś jego dorobek poetycki, należy również wziąć pod uwagę: myślę tu o paru wierszach w „Odrodzeniu”, o poemacie „Towarzysze — mój wie o nim” (Stalinowski numer „Kuznicy”), wreszcie o opublikowanym ostatnio w „Kuznicy” cyklu wierszy „Z notatek bułgarskich”.

Kubiak od pierwszego tomu począwszy prezentuje się jako twórca, który swe zadania poetyckie pojmuje w sposób ambitny i obowiązujący pisarza uczestnika toczącej się historii. Przechodzi którym daje wyraz poeta, od pierwszych opublikowanych utworów począwszy, są zwierciadłem doświadczeń i przemian pokolenia, do którego autor należy. „Słowo pod żaglem” otwierają wiersze kwitujące lata walki i przeżyć z nią związanych, okres okupacji, partyzantki, śmierci przyjaciół, martyrologii narodu.

Tom „Słowo pod żaglem” nie jest bynajmniej sprecyzowany ideologicznie. Poeta nie podejmuje w nim jeszcze nigdzie tematów świadczących o włączeniu się w nurt walki o określony typ rzeczywistości, o rzeczywistość socjalistyczną. Wyciąga jedynie najogólniejsze wnioski z wszechzjętej w latach 1944—45 przez naszą prasę literacką kampanii o upolitycznienie i uhistorycznienie poezji, prezentuje się jako twórca w najogólniejszym zarysie humanistycznym, jako „dziejopis” swego czasu i swego pokolenia, dając temu wyraz w tytule wstępnego wiersza. Manifestuje np. swą humanistyczną postawę w sprawie stanowiącej w owym czasie niewątpliwie problem uczuciowości intencji ideowych, jaką jest zagadnienie stosunku do zagłady ludności żydowskiej, manifestuje uczuciowe związanie ze sprawą odbudowy kraju, nie posuwa się jednak dalej, nie umie w poezji zaznaczyć i sprecyzować konkretnie swego stanowiska politycznego czy społecznego.

Dopiero tom „Żołnierze i robotnicy” stanowi programową niejako próbę związania się z walką toczoną przez twórców Polski Ludowej. Poemat „Dwaj żołnierze” jest próbą poetyckiego ujęcia drogi Wojska Polskiego z nad Oki, „Narodziny epoki” stawiają sobie jeszcze ambitniejsze, uświadczony zresztą w tytule, cel dania jak gdyby poetyckiej syntezy zjawiska narodzin nowej rzeczywistości w Polsce powojennej.

Sposób, w jaki Kubiak podjął postawione sobie w obu poematach ambitne zadania, przesądził o ich osiągnięciach i o ich brakach. Oba poematy dość znacznie zresztą różnią się między sobą. „Dwaj żołnierze” — to upoetyzowana relacja historyczna, ubarwiona niekiedy nieco konwencjonalnymi chwytami poetyckimi, z pomiędzy których da się jednak wyluskać śmiały i oryginalny osobisty wkład wyobraźni autora. Konwencjonalność niektórych partii poematu jest niewątpliwie ceną, jaką poeta płaci za osiągnięcie historycznej ciągłości i względnej pełni obrazu przy podjęciu tematu, którego starczyłoby wręcz na epopeję. Inaczej „Narodziny epoki”. Tu — po raz pierwszy, zdaje się — z całą wyrazistością dochodzi do głosu bardzo charakterystyczny dla wyobraźni Kubiaka sposób ujmowania rzeczywistości, pewna abstrakcyjność wyobraźni poety. I tak naprzykład opisuje on nam ziemię „wykuty w ogień walki trzech tarcz — Lecha, Czecha i Rusa” jako „wyspę sprawiedliwych, ludzi wierzących w jutro”, którą wyprowadza „z dna mgły międzyplanetarnej, z prądów wodnych, krążących oceanami”. Posługuje się mitologią biblijną, pisząc o wyprowadzeniu ziemi „dobrej nadziei” — „w siódmy dzień, w słońce niedzieli”. W pewnym miejscu pisze:

Na południu — patrz — kraj — kształt  
Icie skrzypiec,  
za górami skrzypce wąskie, śpiewne.  
W ziemi śpiew — jak gdyby naprawdę  
w stradivariusowskim drewnie

i te nurty, nurty Weltawy,  
która tnie przez kraj jak smyczek.  
A na wschodzie — jak tarcza, jak  
[grzbiet  
żółwia — dźwigającego kształt skrzypiec

a dalej nieco:  
Tak Homer widział świat — na żółtym  
ziemi obfitości — gór, świątyn  
i gajów oliwnych i zwierząt,  
pasterzy...

Domyśliamy się, że kształt skrzypiec poeta dojrzał, kiedy oglądał kontur Czechosłowacji na mapie, skorupa żółwia — to mają być prawdopodobnie Karpaty. Ale jakie uzasadnienie ma asocjacja z Homerem? Cały obraz powstał nie z obserwacji bezpośredniej, lecz ze skojarzeń opartych o elementy intelektualne, choć jednocześnie irracjonalnych. Tego pławienia rzeczywistości w wymiarach kosmosu Kubiak zresztą nie wymyślił. Odziedziczył je po wielu, wielu poprzednikach, polskich i obcych. Ideolo-

giczne źródła tego rodzaju widzenia świata powinny być przy tym dla poety przystroga. Nie chodzi tu o krepowanie fantazji, która tam, gdzie idzie o potęgę siły oddziaływania konkretnego obrazu rzeczywistości, może być najsmielsza, ale o irracjonalizm wkradający się w system pojęciowy, co jest niewątpliwym poddaniem się złemu urokowi perspektyw, jakie kreśli wyobraźni artystów estetyka burżuazyjna, i niewątpliwym ześlizgnięciem się na obce pozycje ideologiczne.



foto — Dorys  
Tadeusz Kubiak

Z drugiej strony byłoby niesprawiedliwym nie dostrzec w tychże „Narodziny epoki” niezwykle pięknych obrazów poetyckich. Piękny jest opis miejskiego muzeum, gdzie „niby skały wapienne leżą jedne na drugich stulecia, style”. Daje on jak gdyby skrótowy, plastyczny obraz przemian ludzkości, tych, które doprowadziły w ostatecznym rezultacie do narodzin zwycięskiej klasy, proletariatu. Słowa Manifestu „Widmo krąży po Europie — widmo komunizmu” powtarzają się jako refren opowieści o muzealnych eksponatach, gobelinach kruszących się ze starości, średnio-wiecznych, świętych obrazach. Pomysł poetycki doskonały, ale nie przeprowadzony w sposób dość ideowo wyrazisty. Można by sądzić, że słowa Manifestu to taki sam mit jak biblijne opowieści: wszystko sprowadzono do jednakowej funkcji ornamentu.

Bardzo piękny jest finał poematu. Słusznie autor finał ten wyodrębnił i w trzecim swym zbiorze przedrukował osobno pod tytułem „Polska mówi”:

Jam nie z krzywdy, ni pychy — z roboty.  
Z błyskawicy na cieleskim świdrze.  
Z cierpliwości chłopskiej i tęsknoty.  
Rzecz powszechna, plebejska, Zatybrze.

Jam nie z wypraw krzyżowych, nie  
[z wojen  
burskich — ale z okopów w Sawannah,  
z ognia, z róż Andaluji — z krwi twojej  
generale Walterze — w tych ranach.

Tu w Warszawie na Placu Zwycięstwa,  
tam gdzie Grób Nieznanego Żołnierza,  
nocne śmy leżą z parku i gęstwa  
saskich drzew gałęziami uderza.

Jam nie z rusznic najemnych, nie  
[z mieczy,  
które, czemu w kształcie krzyża —  
[nie wiem —  
ale z dzieży, z zielonych wiewiórek,  
z ptaków tych i motyli na drzewie.

Tu motyle tak ciepło, że chyba  
w pocałunkach spaliłyby usta  
nadlatując z Łazienek w szybach  
okien tańczą. A Wisła gdzieś płaska.

Uczuciowe ciepło, bijące z wiersza, umiejętnie związane elementami tradycji literackiej i historycznej, ludowej, rewolucyjnej, stanowi o sile tych strof, nie najoryginalniejszych może w twórczości poety, ale świadczących o głębokim przeżyciu tematu.

Zagadnieniem w tej chwili dla nas niewątpliwie najważniejszym w ocenie twórczości Kubiaka, jej perspektyw i możliwości jest trzeci tom jego wierszy oraz ostatnie utwory poety. To, że znajdujemy w nich znamiona coraz doskonalszego posługiwania się słowem i obrazem, oraz dalsze próby podejmowania aktualnej, żywej tematyki, jest naturalne i zrozumiałe. Znajdujemy w nich akcenty międzynarodowej solidarności walczących o wolność i pokój (poemat „I ja jestem wśród tych”), oraz inne wiersze), nienawiści do faszyzmu (np. wiersz „O moich oczach”), znajdujemy próbe oddania patosu odbudowy w poemacie „Rzecz o Trasie W—Z”, znajdujemy piękny poemat — gwądo o „najbardziej doświadczonym i najczujniejszym spośród nas”, napisany na 70-lecie urodzin Józefa Stalina, i poetycką próbę rachunku z polityczną przeszłością w wierszu „Biwak pod św. Jerzym”. Tematyka i zakres lirycznych zainteresowań poety w dalszym ciągu wskazują na to, że pojmując on swe zadania w sposób ambitny, wiąże je nie tylko z wewnętrzną potrzebą odtworzenia własnych przeżyć indywidualnych, ale i z zadaniami artysty zaangażowanego w walce o socjalizm. Mimo to za-

znaczone wyżej niebezpieczeństwa ideowo-artystyczne zdają się zagrażać nadal niektórym zwłaszcza wierszom Kubiaka, a nawet czasami potęgają się wraz ze spotęgowaniem siły artystycznego wyrazu, jaki osiąga wdzierająca się w wyobraźnię poety nuta ideologicznie fałszywa i obca.

Tę nutę obcą określiłbym najogólniej jako nutę fałszywej mitologizacji rzeczywistości, przejawiającą się zarówno we wspomnianych wyżej skłonnościach do wyobraźniowej abstrakcji, jak niekiedy w stylizacji bądź biblijnej, bądź ludowo-naiwnej (chodzi oczywiście o stylizację na ludowość, nie o czerpanie z żywych ludowych wzorców). Tą mitologizującą rurą wlewa się w poezję Kubiaka często irracjonalizm, widmo chaosu, w którym pływa przedstawiany świat, tak miłe i bliskie wyobraźni poetów kształtowanej przez ideologię burżuazyjną.

Skąd wzięły się u Kubiaka te naleciałości? Nie powinny one dziwić u poety pokolenia, które zaczynało kształtować się poetycko, w latach kiedy w liryce królowała estetyka postsymbolistyczna, stanowiąca swoisty wykładnik określonych tendencji ideowych i politycznych, ideologii estetyzmu w sztuce, personalizmu w filozofii, ideologii w kręgu której obracała się często młodzież literacka czasów okupacji. Byłyby to zatem wyrażające się w formie wczesnych wierszy Kubiaka pozostałości po dawno przezwyciężonej ideologicznej atmosferze jego pierwocin literackich.

Weźmy często występujący u Kubiaka słownik mitologii biblijno-ewangelicznej. Pamiętajmy, że za określoną formą kryje się zawsze określona ideologia, określony uczuciowy stosunek do treści. Wiersz „Wyznanie wiary”, w którym są „poczęci i zrodzeni z niewiasty”, „siadający po prawicy i po lewicy”, gdzie znajdujemy trawestacje terminów takich jak „kościół powszechny” i „świętych obcowanie” — jest niewątpliwie świadomą stylizacją, ale w jej wyniku otrzymujemy nie postawę poety rewolucyjnego, tylko jakieś świeckie religianctwo. Ze zjawiskiem tym spotykałmy się często w laickiej sztuce mieszczańskiej, gdzie zachowanie zewnętrznej symboliki religijnej było niejednokrotnie maską mieszczańskich treści klasowych, maskowało mieszczański rodzaj szacunku dla tradycji. Ale w poezji socjalistycznej aura tego rodzaju niekształca odważne i proste spojrzenie na rzeczywistość, pseudonimuje sprawę, dla których poeta socjalistyczny powinien zdobyć się na własny artystyczny język.

Stylizacja na naiwną ludowość występuje dość często u Kubiaka i niezawsze jest przekonująca. Na przykład w ostatnio drukowanych wierszach z cyklu „Z notatek bułgarskich”. Nie są to rzeczy, których uroku, uroku naiwnej ludowej piosenki można by nie doceniać. Wydaje mi się jednak, że w utworze świadomego, współczesnego poety nie mogą one roztopić się bezkonturowo. Mogą one grać rolę ornamentu, ilustracji, pewnego nastroju, ale świadomość poety socjalistycznego musi nad tym jakoś artystycznie panować. Poeta ten nie może być tylko kopistą naiwnych uroków ludowej sielanki, i to nie autentycznej, ale stylizowanej.

To, o co mi chodzi, Kubiak osiągnął natomiast w poemacie „I ja jestem wśród tych”, opiewającym wyzwoleniec armii Chin Ludowych. Poemat zawiera bardzo piękne miejsca, np. obraz idącej armii, lub właśnie oparte na stylizacji fragmenty takie, jak śpiew maszerujących żołnierzy, czy też „Głos trąbki wojownika”. W całości konstrukcja poematu wydaje mi się i tu jednak za „to zwarta, brak w niej komentarza, który by koncentrował uwagę czytelnika. Przeszkadza nadmierne zaufanie metodzie luźnego toku kojarzeń.

Dalszym niebezpieczeństwem wydaje mi się u Kubiaka owa wspomniana wyżej „kosmiczność” perspektyw dla spraw zupełnie bliskich i realnych. Znamienny tego przykład stanowi początek poematu „Rzecz o Trasie W—Z”. Nie sądzę, aby dało się w pełni uzasadnić ideowy i artystyczny cel rozpoczęcia opisu Trasy wizją zwrotników Raka i Koziorożca, kontynentu, który łańcuch gór Uralskich dzieli na Azję i Europę, wizją Jonasza we wnętrzu wieloryba, Hradczynem i Galia. Wszystko to rozprasza zamiast koncentrować. A i porównanie terenów budowy do gór, gdzie „wśród kosówki ścieżką — stromym torem biegają koziorożce małych lokomotyw”, pracy żelaznej kopaczki do walki byków, gdzie robotnik podbiega jak torreador — są barokowe, nieprzekonywujące i bardzo przypominają błędy, jakie swego czasu, pisząc swój pseudoklasyyczny poemat o przedwojennej Warszawie, popełnił światopiełk Karpinski.

Podobnie ryzykownym pomysłem wydaje mi się zrobienie z poematu o generale Świerczewskim — utworu pod tytułem... „But Generała”. Można by założyć wiele bardzo pięknych strof tego poematu, ale pomysł z butem jest nieco dziwny i ma w sobie coś niezbyt poważnego. Wchodzi tu w grę niewątpliwie również pewna barokowość metafory, dźwigającej cały poemat, gdzie zresztą zupełnie zwyczajnie opowiedziana historia życia generała Świerczewskiego, wysnuta jest fantastycznie z... podeszwy jego generalskiego buta. To jeszcze jeden rodzaj mitologizacji rzeczywistości w poezji Kubiaka.

Tym poetyckim błędem, błędem wskazującym dobitnie na niebezpieczeństwa, z jakimi walczyć musi poeta socjalistyczny, chcąc uniknąć fantazjotwórstwa nieodpowiedzialnego, opartego o irracjonalny tok kojarzeniowy, o idealistyczne zaplecze filozoficzne, należy przeciwstawić zdecydowanie pozytywne osiągnięcia poety. W poemacie „Towa-

Dla czynów swych największą z miar  
dziś otrzymujesz wraz z imieniem  
tego, co piękną duszę miał,  
był wichrem, stałą i płomieniem.

Chcę, byś był twardy, tak jak on,  
prawem miłości najgorętszej,  
umysł żarliwy miał, jak on,  
wytrwale, silne, czyste ręce.

Byś, odrzucając wiele szczęść,  
wybrał jedyne, najprawdziwsze,  
w którym zawarty życia sens —  
jego i twego, mój Feliksie.

LEOPOLD LEWIN

## FRAGMENT POEMATU

Hej, maszynisto, ptaku Turksibu,  
Co wiesz przez rozkwitły step?  
Czy węgiel z uralskiego sztybu,  
Czy z Ukrainy biały chleb?

A może — powiedz — myśl i wolę,  
Zakłętą w węgiel, chleb i sól?  
W bawelnę z kołchozowych pól,  
W traktor, co wnet wybiegnie w pole?

Więc powiedz — wolę, co w retortach  
Świeci jak drogocenny rad,  
Oddechem świata huczy w portach  
I płynie w żyłach Kraju Rad.

I oto budzi ruch turbiny,  
Zwilża pustynię, kruszy głąz:  
Gdzie był step — młody szumi las,  
Gdzie szumił las — tam śpiew maszyny.

I oto bryły wód z urwiska —  
Strąca i niesie nurtem rzek,  
Żywym strumieniem z ziemi tryska  
I rzekom rzeźbi nowy brzeg.

Wyczarowuje z chłodnej fali  
Żarówkę o miliardzie świec,  
Rozpala Martenowski piec,  
By wartko skrzył się potok stali.

Hej, maszynisto, szybki ptaku,  
Co wiesz w syberyjską dal?  
Stalina myśl czy naftę z Baku,  
Stalina wolę czy też stal?

Błyskają ognie Dnieprostraju  
I młot Magnitogorska grzmi —  
Wykuwa jasne, piękne dni  
W kuźni radości i pokoju.

Wybiegły w przyszłość pięciolatki  
Myślą Stalina, błyskiem szyn.  
Łzy szczęścia dojrzą w oczach matki, —  
Na bohatera — rośnie syn.

ryzysze — mówię o nim” Kubiak tak precyzuje swą postawę ideową i artystyczną:

Jestem z wami — bo dziś  
poezja — to także atak!  
Koledzy poborowi idei!  
Rewolucja ma oczy łagodne,  
Ale dionie ma nawet  
dla samej siebie twarde.  
Wszędzie tam, gdzie świt zawrzał  
pracą — zaciągnąć wartę!  
Gdzie wyzłocił twarz muze  
wolności — trzymać wartę!  
— — — — —  
Gdzie głos sprawiedliwego  
jest głosem serca — czuć walc!  
Gdzie śmilerca prawodawcy  
starego świata grożą —  
wytrwać w ciemności z ręką  
na sztelbie oliwionej!

Strof śmiałych i mocnych, pięknych obrazów dałoby się znaleźć wiele w różnych wierszach Kubiaka, nie zawsze jednak da się wydobyc je spod skłonion-go natłoku wzrji chaotycznych i nieuporządkowanych.

Reasumując sądziłbym, że Kubiak jest poetą o bogatej wyobraźni lecz nie dość

silnym zmysłem konstrukcji, nie dość dużej dyscyplinie intelektualnej. Wydaje mi się, że zmysł konstrukcji i dyscypliny może on i powinien w sobie wyrobić, gdyż inaczej piękna niekiedy metaforyka jego wierszy może stać się czymś nieprzemawiającym do większości czytelników. Wydaje mi się dalej, że jednym ze środków osiągnięcia owej dyscypliny byłoby dążenie poety do silniejszego związania swej twórczości z konkretnymi zadaniami, stojącymi przed poetą współczesnym, myśl o konkretnym czytelniku, który jego wierszy będzie słuchał, będzie je recytował, którego wiersze te powinny natchnąć do pracy i walki. Można by to nazwać wzmoczeniem poetyckiej czujności ideologicznej, uprzątnięciem sobie, że poprzez rozluźnienie logicznej więzi wyobraźniowej, przez dopuszczenie do irracjonalnego toku kojarzeń, przez nadmierne barok i stylizację, wpuszcza on jak gdyby do swej poetyckiej fortecy wroga klasowego, uosobionego w myślowym chaosie, intuicjonistycznym wizjonerstwie, indywidualistycznym subiektywizmie. Dążąc do formy prostej i zwartej, do siły wyrazu i precyzji myśli, przekształca swą poezję w tym skuteczniejszą bronią w toczoną przez nas walce.

Ryszard Matuszewski

JERZY ANDRZEJEWSKI

## FRAGMENT

Fragment niniejszy jest początkiem „Wielkich przygód Jasia z Temelina“, powieści, której akcja rozgrywa się na przestrzeni ostatniego pięćdziesięciu lat. Po rozlicznych przygodach bezdomnego życia, wśród takich samych, jak on, dzieci ulicy — Jaś Sikora trafia na koniec do Domu Młodzieżowego na Pomorzku Szczęśliwym i tam, w tym nowym środowisku, które przekształca się wraz ze zmianami obejmującymi cały kraj, wyrasta na dzielnego zetempowca.

Pewnego popołudnia, z końcem października roku czterdziestego piątego, mgła jak na porę jesienną wyjątkowo gęsta rozpocierała się poczęła nad Krakowem. W parę godzin później, gdy stał się zmierzchni, mgła jeszcze niżę pomiędzy dmy opadła, szczerze wilgotnym oparem wypełniając słabo oświetlone ulice i place. Wprawdzie życie w mieście nie zamarło, dalej kursowały tramwaje, jeździły auta i przechodnie, potrącając się na chodnikach, śpieszyli w swoich kierunkach, lecz tego wieczoru o owym codziennym miejskim ruchu świadczyły jedynie stłumione wilgocią głosy ludzkie oraz dobiegające z głębi mgły i również przyszybczone dzwonki i klaksony. Czasem tylko na skrzyżowaniu ulic, w pobliżu przymglonych świateł, tramwaj przenikliwie zazgrzytał, a znow z innej strony dobiegł ostry gwizd opon samochodowych nagle zanamowanych na śliskim asfalcie. Prowadzenie w podobną pogodę czterotonowej ciężarówce nie należy do czynności przyjemnych ani łatwych.

— Ty, Franek — mruknął młody żołnierz pochylony nad kierownicą — widzisz co, bo ja nie.  
— Twarzysz kierowcy, również żołnierz, grubą rękawicą przecierał wilgotną od wewnątrz szybę.  
— Ja też nie.  
— Mglą, jak śmietana.  
— Nie szkodzi. Znam tę drogę jak własną kieszeń. Byłoby do wiaduktu.  
— Tam, gdzie dworzec?  
— Acha!  
— Ognomni, brezentem kryty ZIS, który przybył do miasta od strony Kocmyrzowa, posuwał się wolno prawą stroną ulicy Mogiłskiej. Kierowca, wpatrzony w szybę omiatając wahadłowem ruchem wycieraczki, raz po raz zmieniał światła, lecz czy na długi dystans były nastawione, czy na krótki — blask ich natychmiast poza maską zanikał w białym oparze. Natomiast tuż za szybą przemykały szybko wiotkie strzępy mgły. Idąc na małym gazie, ciężarówka mimo pełnego ładunku trzęsła się i dygotała na wyboistym bruku. Kierowca coraz częściej naciskał klakson. Z tyłu zaterkotał nagle dzwonek tramwaju.

— Uważaj, Staszek — powiedział towarzysz kierowcy — zaraz będzie przystanek.  
Wagony tramwajowe wśród nieustannie alarmującego dzwonięcia przesunęły się obok ciężarówce i stanęły tak nagle, że kierowca w ostatniej chwili zdążył wóz zahamować.

— Za wcześniej stanął, patałach! — powiedział drugi żołnierz. — Przystanek jest o kilka metrów dalej.  
Przechodnie, którzy chcieli wsiąść do tramwaju, w pośpiechu poczęli się tłoczyć przy masce ciężarówce, w zasięgu jej reflektorów. Osłepieni światłem wpadali na siebie, popychali się i dobra minuta upłynęła zanim się bezładna kotłowniana skończyła i tramwaj dzwoniąc jak na alarm odjechał. W ślad za nim, becząc swym klaksonem, ruszyła i ciężarówka.

— O, tu dopiero jest przystanek — powiedział towarzysz kierowcy.  
Wtem, sylwetka szybko przez jezdnię biegnącego mężczyzny wyłoniła się z mgły tuż przy ciężarówce. Zgrzytnęły hamulce. Wóz gwałtownie zatrzymał szarpnął się, zadygotał i stanął, lecz o ulamkę sekundy za późno: człowiek się poślizgnął i zniknął pod potężnym kadłubem maski.  
Obaj żołnierze jednocześnie wyskoczyli z ciężarówce. Tamtemu nic się jednak musiało nie stać, bo gdy się przy nim znaleźli — podniósł się z ziemi. Był to mężczyzna w średnim wieku, krępy, w futrze i w jasnych szamiznowych rękawiczkach. Teraz jednak, gdy się gramałił spod maski, wyglądał opłakanie: cały od stóp do głowy utyłany był biotnistą mazią, nie miał poza tym kapelusza, który zleciał mu wówczas zapewne, gdy się był potknął.

Nim się kierowca zdążył odezwać, tamten rzucił się ku niemu z krzykiem.  
— Gnoj wam wzięć, psiakrew, nie samochodem kierowca! Oczy wam do tyłka wlaży, czy co?  
Twarz żołnierza lekko pociemniała.  
— A może nie wiecie z kim macie do czynienia, co? — wrzeszczał mężczyzna przekrzykując dudnienie motoru. — To ja wam pokażę, kim jestem. Ja was nauczę!  
— Ty, Staszek — odezwał się drugi z żołnierzy stojący nieco z boku — spytaj grzecznie tego pana, kim jest, bo to może wujek Andersa, a my nic nie wiemy, nie?  
Mężczyzna, spostrzegłszy, że żołnierzy jest dwóch, cofnął się o krok i poczęł rozglądać się za kapeluszem. Nowiuteńki Hückel leżał przy kole, nadłamszony nieco ciężarem obrzymiej opony. Żołnierz wyszarpnął go stamtąd.  
— Bierz pan swoje cenne nakrycie głowy i zmiataj. My, uważasz pan, jesteśmy dobrzy chłopcy, do rany nas przyłoż, ale jak się nam czyjaś twarz nie spodoba, to — rany boskie! — nawet wujka Andersa i samego Churchilla możemy nie uszanować. No, już!

Mężczyzna, nie zdążywszy wsadzić pomiętego kapelusza na głowę, jednym sussem wskoczył w mgłę. Po chwili, już z pewnej odległości, dobiegł jego przylgany głos:  
— Łobuzy bolszewickie, fuji!  
Kierowca zrobił ruch, jakby się chciał za tamtym rzucić w pogoń, lecz towarzysz zatrzymał go.

— Teraz nie będzie tak, że jedni politykę robią, a drudzy nie. Wszyscy będą robić politykę i praca też będzie polityczna.

— A jak ja nie chcę? Jeżeli ja chcę tylko pracować?

— Nie ma tak: ja chcę, ja nie chcę. Jeżeli nie chcesz, to też będziesz robić politykę. Tylko nie dla nas.

Odwrocił się i poczęł podnosić haki. Ciężka deska z hukiem opadła na dół, odsłaniając wnętrze ciężarówce zawalone dużymi workami.

— Hej, maly! — krzyknął do środka. W głębi mrocznego wnętrza poruszył się ktoś pomiędzy workami.

— Masz już swój Kraków, wylał!

— Drobnym i szczupłym chłopcem stanął na skraju ciężarówce. Na głowie miał pomięty kaszkiet, spod którego wymykał się kosmyki jasných włosów, na sobie postrzępiony, rzemykiem ściśnięty ko-

Wyciągnął rękę i przez moment przytrzymał w dłoni drobną i zmarniętą piąstkę malca.

— Poczekaj, nie powiedziałeś nawet, jak się nazywasz?

— Sikora, proszę pana.

— A na imię?

— Jaś.

— No widzisz! A ja się nazywam Staszek Urbaniak. Trzymaj się, Jasiu!

Chłopiec śmiałym krokiem przeszedł jezdnię. Na skraju chodnika przystanął i obejrzał się. Urbaniak skinął ku niemu ręką. Chłopiec odpowiedział tym samym ruchem i ruszył dalej. Niebawem Urbaniak stracił go z oczu.

Strome i wąskie schody, typowe dla starych kamieniczek krakowskich, tylko na pierwszym piętrze oświetlała wąż, mocno przykurzona żarówka. Wyżej było ciemno i trzeba się było wspinać po omacku. Znalazłszy się na d-

nieduży i biedny, pod jedną ścianą stała pękata szafa, pod drugą składane żelazne łóżko, a zwykły, na ukos ustawiony stół, zawałony książkami i papierami, zajmował znaczną część tej ciasnej kłitki. Otwarte w głębi drzwi prowadziły do drugiego zapewne pokoju, lecz tam było ciemno. Gospodarz tego mieszkania niedawno musiał wrócić do domu, bo w kącie pod piecem leżały długie, świeżym błotem uwalane buty. On sam miał na nogach miękkie wydeptane pantofle. Był bez marynarki, tylko w grubym szarym swetrze i spodniach wojskowych. Teraz, zalczywszy masywne ręce do tyłu, przechadzał się po pokoju. Pod ciężarem jego ciała skrzypiała w jednym miejscu podłoga.

— No, to opowiadaj! Gdzie poznałeś towarzysza Nowotniaka?

— W Choszczynie, proszę pana.

Mężczyzna zatrzymał się.

— W Choszczynie, powiadasz? To ty jesteś z Choszczyna?

— Nie, proszę pana.

— A skąd?

— Z Temelina.

— Temelin? Gdzie to jest?

— Koło Biłgoraja, proszę pana.

— Ach tak! Zamoczył się jednym słowem.

Znow poczęł chodzić tam i nazad.

— I z tego Temelina trafieś do Choszczyna, tak?

— To dopiero potem, proszę pana.

— Potem, powiadasz. Zaraz, wszystko w kolejności! Wiesz może, że tam u was w Choszczynie strzelali do towarzysza Nowotniaka bandyci?

— Wiem, proszę pana! To „Kulawy“, na pewno on.

— Co za „Kulawy“?

— Taki jeden, ukrywa się w lesie, Enezetowiec.

Mężczyzna znow przystanął.

— Patrzcie no! A wiesz ty, co to jest enezetowiec?

— Wiem, proszę pana.

— No?

— To tacy, z którymi bogaci trzymają.

— To może i wiesz, że towarzysz Nowotniak przyjechał do Choszczyna, żeby przeprowadzić reformę rolną?

— Pewnie, że wiem. Dłatego strzelali do niego.

— Poczekaj, a ileż ty masz lat?

— Czternaście, proszę pana.

Mężczyzna spojrział na niego bystro.

— Czy aby prawdę mówisz?

— Jaś pocerwieniiał.

— Nie.

— No widzisz! Więc ile, dziesięć?

— O nie, proszę pana! Dwanaście.

Dwanaście i cztery miesiące.

Mężczyzna podszedł do stołu, wyjął z zruconej na krzesło kurtki fajkę i poczęł ją nabijać tytoniem.

— Więc co dalej? Co ci mówił towarzysz Nowotniak?

— Towarzysz... — zaczął Jaś.

Tamten się uśmiechnął.

— Śmiało! Mów: towarzysz. To lepszy tytuł niż pan, nie?

— Acha!

— Więc co ci mówił towarzysz Nowotniak?

— Mówi... nie, zaraz, bo to się tak zaczęło, powiem od samego początku...

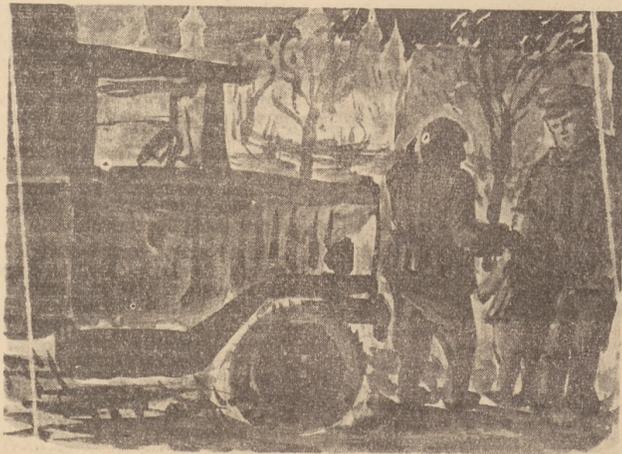
— Wal od początku!

— Bo to ja towarzysz Nowotniaka znalazłem, jak go ci od „Kulawego“ postrelili.

Mężczyzna przysunął sobie krzesło spod ściany i usiadł na wprost chłopca.

— No i? Jak to było?

— To tak było. Do stryja przyszli raz wieczorem znajomi z Zagajów. To wtedy stryj posłał mnie do Kądzelskiego po wódkę. I jak wracałem, to żeby sobie skrócić drogę poszedłem łąkami. Idę więc, aż tu nagle słyszę w stronie rzeki strzał, jeden, drugi. Najpierw to się trochę przelakłem i chciałem zawrócić, ale potem myśle sobie, że nie warto, szkoda czasu i co mi się może stać? To poszedłem dalej. Jeszcze nie było ciemno, ale tak już prawie. A do rzeki to był jeszcze spory kawałek. Aż tu nagle jak z łąki skrzęcam do zagajnika, słyszę: ktoś języ. I to był właśnie towarzysz Nowotniak. Pod samym zagajnikiem go ustrzelili.



żuszek i spodnie wpuszczone w zbyt obszerne buty.

— Skacz! powiedział kierowca.

Chwył malca w powietrzu i postawił obok siebie na ziemi.

— Aleś ty lekki, jak piórko! Zmarzeł, co?

Chłopiec podniósł na żołnierza niebieskie oczy i uśmiechnął się.

— Trochę, proszę pana, ale to nic, ja jestem przyzwyczajony.

Drugi żołnierz poklepał go po ramieniu.

— To zuch z ciebie. Miałeś zresztą szczęście, bracie, żeś nas po drodze spotkał. Do jutra byś piechotą do Krakowa nie zaszedł.

— E, zaszedłbym, proszę pana, — przeciwną małą z przekonaniem.

Kierowca uważnie mu się przyjrzał.

— Na Floriańska chcieł?

Chłopiec znow podniósł ku niemu ufny wzrok.

— Tak, proszę pana. To daleko?

— Tam masz Floriańska, widzisz? — pokazał w kierunku, w którym spomniędzy mgły wyłamał się zarys Barbakanu.

— Prosto.

Chłopiec obejrzał się za siebie i skinął głową.

— Trafisz?

— Pewnie. Miałbym nie trafić?

— A kogoś ty masz na tej Floriańskiej? Rodzinę?

— Nie, proszę pana. Znajomego.

— Tak? Ale chyba większego niż ty, co?

— O tak! On jest nawet od pana większy.

Żołnierz, który w przeciwnieństwie do swego kolegi kierowcy był barczystym i rosiłym chłopakiem, głośno się zaśmiał.

— Ale cię zjadł, Staszek! W takim razie ten twój znajomek nie da ci w Krakowie zginąć. Szoruj więc, mały, na Floriańska, a my jedziemy dalej.

Mały zawałnął się i pytająco spojrział na kierowcę. Ten się uśmiechnął.

— Musimy, widzisz, zawieść do kosszar te worki z kartoflami. Uważaj tylko, widzisz jaka mgła, żebyś nie wpadł pod tramwaj.

— Tak proszę pana, będę uważał.

— To bywaj!

## Z PIERWSZEJ OGÓLNOPOŁ



Helena Krajewska — Brygada młodzieżowa

foto — Deptuszewski



Eugeniusz Eibisch — Z. M. P.

foto — Kukowski

# P O W I E Ś C I

ilustr. K. Sosnowski

Mężczyzna, wsparł się na szeroko rozstawionych kolanach, cnił w zamyśleniu fajkę.

— No i dalej?

— Calusienką kosczał, proszę pana, miał we krwi i na ustach też miał krew, płuco mu przestrzeliło. Ale jak zobaczyłem, że jeszcze oddycha, to pobiegłem zaraz na milicję. A jak wróciliśmy, to już leżał zupełnie cicho, wcale już nie jęczał, ale jeszcze żył.

— To twardy chłop, towarzysz Nowotniak — mruknął mężczyzna. — Zawsze go do Wiślicy, tak?

— Do Wiślicy. Tam jest najbliższy szpital.

— I co, stryj się pewnie gniewał, że się z wódką spóźniłeś?

Jaś skinął głową.

— Ile ma ziemi stryj?

— Dwadzieścia mórg. Piętnaście ornej i pięć łaki.

— To nieźle. Ale co z towarzyszem Nowotniakiem, to już koniec?

— Ale gdzie! — Jaś się znowu ożywił. — W jakichś trzy tygodnie potem spotyka mnie Jędrzek Borek...

— Kto to taki?

— Borek? To taki chłopak z naszej wsi. Ślusarz.

— No i?

— Powiada mi, żebym się kiedy wybrał do Wiślicy do szpitala, bo tam leży towarzysz Nowotniak i chce mnie zobaczyć.

— I poszedłeś?

— Pewnie! A potem byłem jeszcze ze trzy razy, nie — cztery nawet. Chodziłbym i częściej, tylko czasu nigdy nie miałem.

— A co robiłeś?

— Stryjowi pomagałem. I stryjnie też.

— A o czym rozmawialiście z towarzyszem Nowotniakiem?

— O, o wszystkim! Towarzysz Nowotniak opowiadał mi, jak był w czasie ekwipacji w lesie, w Aelu i jak mu na wsi całą rodzinę hitlerowcy pomordowali.

— I co jeszcze?

— A ja opowiadałem o sobie. I jak byłem ostatni raz, kiedy już wstawał i miał wyjechać do Krakowa, to...

— No śmiało! Wygarnij wszystko.

— To powiedział mi, że jeżeli mi stryj i stryjna bardzo dopieką i nie da-

palenie płuc i teraz to jest historia na miesiąc. Nie masz co jechać do Zakopanego. A tu nie masz nikogo?

Jaś potrząsnął głową.

— Rodziców też nie masz?

— Nie. Mama jeszcze we wrześnie zginęła od bomby, a tatusia rozstrzelali Niemcy w czterdziestym trzecim.

— Co twój ojciec robił?

— Kolejarzem był.

— A rodnictwa nie masz?

— Miałem brata.

— Starszego?

— Starszego. Do Niemiec go wywieźli w czterdziestym pierwszym i tam zginął.

— To poza tym stryjem bogaczem nie masz na świecie nikogo?

— Nikogo.

— A do stryja nie chcesz wrócić?

— O nie! — zawołał żarliwie Jaś. — Ja się chcę uczyć.

Mężczyzna spowrotem usiadł naprzeciw chłopca.

— A uczyłeś się już gdzieś przynajmniej?

— O tak! Mam cztery klasy skończone. Najpierw chodziłem do szkoły w Temelinie, a potem w Warszawie.

— Patrzenie, toś ty i w Warszawie był?

— A byłem. I w powstaniu byłem. Na Starówce.

— Jakżeś ty się dostał do Warszawy?

— To tak było, proszę pana: jak u nas w Temelinie zaczęli mężczyzn rozstrzeliwać, to zabierali też dzieci, żeby je potem do Niemiec wysłać. Więc jak tatusia rozstrzelali, to ja uciekłem do Warszawy.

— A dlaczego właśnie do Warszawy?

— Bo tatus miał w Warszawie przyjaciela. I jeszcze przed tym mi mówił, że gdyby mu się coś złego stało, to żebym ja do pana Makowskiego pojechał, to on się mną zaopiekuje.

— Nie do stryja?

— Nie.

— I cóż, było ci dobrze w Warszawie?

— O tak, bardzo dobrze! Pan Makowski też był kolejarzem i razem z Wojtkiem chodziłem do szkoły na Freta. On był starszy ode mnie o rok, ale chodziliśmy do jednej klasy. Pani Makowska też była dla mnie bardzo dobra, a pan Makowski, jak wracał z pracy, dużo mi opowiadał o tatusiu. Tatus jeszcze

— Z panem Makowskim? W powstaniu zginął.

— A pani Makowska?

— Też zginęła. W piwnicy ją zasypano.

— A Wojtek?

Jaś bezradnie wzruszył ramionami.

— Nie wiem, proszę pana. Tego dnia, kiedy wybuchło powstanie, Wojtek pojechał rano na Mokotów i już nie wrócił do domu.

— To może żyje.

— Może żyje.

Mówił teraz bez ożywienia, głosem coraz cichszym i zmęczonym.

— No tak! — powiedział krótko mężczyzna.

Chwilę spacerował zamyślony, potem zaczął przy stole czyścić fajkę i na nowo nabijać ją tytoniem. Wreszcie odwrócił się.

— A jak tyś się dostał z Choszczna do Krakowa?

— Jaś podniósł głowę. Oczy miał śmiertelnie zmęczone.

— Najpierw wąskotorówką, proszę pana.

— Miałeś pieniądze?

— Nie, tak bez pieniędzy. Ale za Wiślicą złapał mnie kontroler i wyrzucił. Musiałbym całą noc czekać na następnej kolejce, a na stacji było strasznie zimno, więc poszedłem piechotą, żeby się rozgrzać.

— I co, tak na piechotę doszedłeś do Krakowa?

— Przed Kocmyrzowem jeden żołnierz wziął mnie na ciężarówkę.

— To kiedyś ty wyszedł z domu?

Jaś zastanowił się.

— Wczoraj w południe, proszę pana.

— I nic pewnie nie jadłeś?

— Nie.

— To dlaczego od razu tak nie gadałeś? — nasrożył się nagle mężczyzna. — To tak trudno otworzyć usta i powiedzieć: jestem głodny, towarzysz Witkowski, dajcie mi jeść?

Dostrzegłszy przestrach na twarzy chłopca złagodniał natychmiast i uśmiechnął się.

— Przepraszam cię, chłopce, krzyczę na ciebie, ale to właściwie na siebie powinienem krzyżeć za to, że się nie domyśliłem, że możesz być głodny. Widzisz, chłopce, jak tylko człowiek sam jest syty, to zaraz mu łatwiej zapomnieć, że inni mogą być głodni. Ale naprawimy to, coś się tam chyba w domu znajdzie do zjedzenia.

Po chwili przez otwarte drzwi do przedpokoju dobiegły z kuchni odgłosy jego krztałania się. Otwierając kredens, przesunął jakieś garnki, naczynia, wreszcie nalał wodę do czajnika i gdy go postawił na gazie, wrócił do pokoju.

— Nic się nie martw, chłopce — poklepał Jasia po plecach — wszystko będzie dobrze. Przepisz się dzisiaj tam w drugim pokoju na kozetkę, a jutro, jak wycoczysz, jak się porządnie wypisz, to pomyślimy, co zrobić dalej. Nie ma wprawdzie w tej chwili towarzysza Nowotniaka, ale ja jestem, rozumiesz? towarzysz Witkowski. I już moja w tym głowa, żebyś się uczył. A kim ty byś chciał być?

Jaś zarumienił się aż po splecione nad czołem kosmyki piówych włosów.

— No, śmiało!

— Parowozu chciałbym budować, proszę pana.

— Świetnie, potrzeba nam tysiące parowozów.

— Ale wagony także chciałbym budować.

— Oczywiście! Wagony też są nam potrzebne. A samolotów nie chciałbyś budować?

Jasiowi zaśmiały się oczy. Zapomniał już całkiem o zmęczeniu.

— Chciałbym, ale to musi być strasznie trudno.

— To co z tego? Właśnie na trudne rzeczy warto się porwać, nie? Pomyśl sobie tylko: będziesz chciał skonstruować model parowozu, dobrze! ale będziesz musiał pamiętać, że twój model musi być jeszcze lepszy od tego, który do tej pory uznany był za najlepszy. A czy to też nie jest trudne, jak myślisz?

— Pewnie, że trudne.

— A widzisz! Każda praca, do której się zabierzesz, będzie trudna, jeżeli dzięki niej ma być lepiej na świecie i tobie

samemu i innym ludziom ma się lepiej żyć. Ale to jest właśnie piękne, to jest najpiękniejsze, mój chłopce, w pracy ludzkiej. Słyszałeś może coś o Stachanowie i ruchu stachanowskim?

Jaś potrząsnął głową.

— Nie? To uważaj. Pod koniec drugiej pięćdziesiątki, to było w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, żył w Związku Radzieckim pewien górnik, nazywał się Aleksy Stachanow. Otóż ten Stachanow pracował jako rębacz, wiesz co to rębacz?

— Poczekaj.

— No?

— Cholera! Wołowi by takie uderzenie dało radę.

— Żyje?

— Zapie jeszcze.

— Daj, ja go wykończę, strzelę raz.

— Po cholere? A tak nie starczy?

Rozległ się ciężki łomot podkutego buta. Po chwili:

— Widzisz, krew poszła z nosa, to do bry znak. Tak jak z królikiem. Kaput.



— Acha!

— Pracował jako rębacz w Zagłębiu Donieckim, na kopalni, która się nazywała „Centralnaja-Irmino“. Otóż, wyobraź sobie, ten Aleksy Stachanow pierwszy z robotników radzieckich zrozumiał, że maszyna nawet najdoskonalsza, to jeszcze nie wszystko, że najważniejszy jest człowiek i jego umiejętność opanowania maszyny, techniki...

Stukanie do drzwi wejściowych przerwało mu w połowie zdania.

— Siadać — powiedział, widząc, że Jaś poderwał się z krzesła. — A jak się zagadam, to mi przypomni o herbacie.

Przeszedł do przedpokoju, zamykając za sobą oszklone drzwi. Jaś nastawił uszy. Posłyszał męski głos:

— Pan Witkowski... telegram.

Potężna głowa i baczyste plecy Witkowskiego wyraźnie rysowały się na tle oszklonych drzwi. Stał najwidoczniej w progu kuchni i otwierając otrzymany telegram. Wtem błyskawiczny ruch ludzkiej ręki uzbrojonej w żelazny łom mignął w szybie. Cień Witkowskiego zachwiał się i z przedpokoju dobiegł głuchy łoskot ciężko opadającego ciała.

Jaś stał przy krześle bez ruchu, poślady, z nogami wrosniętymi w podłogę. I dopiero urzawszy cień tamtego człowieka, pochylając się nad leżącym, rzucił się na osłup w głąb sąsiedniego pokoju. Po omacku natrafił na drzwi. Schował się za nie.

Teraz w przedpokoju rozmawiali dwaj mężczyźni. Słyszał ich głosy, lecz tak przyciszone, że słów nie mógł uchwytać. Silniej tylko przycisnął się do ściany, gdy któryś z tamtych ludzi pchnął drzwi od przedpokoju. Słyszał teraz głosy bardzo wyraźnie.

— Nikogo?

— Nikogo.

Weszli do pokoju.

— Poczekaj, zobaczę jeszcze w drugim.

— Zostaw, szkoda czasu. Widzisz, że chałupa pusta.

Jednak ten pierwszy przeszedł za próg i ostrym reflektorem kieszonkowej latarki omiótł ściany. Jaś, wciśnięty w ciasny kąt za drzwiami, przygryzł wargi, żeby zapanować nad drżeniem ciała.

— Chodź, Micha! — powiedział z akcentem zniecierpliwienia tamten drugi. — Musimy zdążyć przed zamknięciem bramy. Przenieśmy go tutaj. Raz, dwa! Za nogi, go bierz, co się cackasz? No, już! Krzywdę mu się boisz zrobić, czy co?

— Ciężki wieprz.

— Dobrze wypasiony.

— Żyje?

A ty zaraz strzelać. Po co? Niepotrzebny hałas i kuli szkoda.

— Masz papierosa?

— Zaraz. Dwa ostatnie. Pamiętaj, żebyśmy kupili papierosa.

Rzucone na podłogę pudełko upadło przy drzwiach.

— Ładnie to ten łobuz nie mieszkał. Drugi się roześmiał.

— Teraz za to będzie mieszkał ładnie. No chodź, Micha, zrobiliśmy swoje, to zabieramy się. Dobry był ten pomysł z listonoszem, co? Chciałbym zobaczyć minę naszego Florka, gdyby mnie ujrzał w tej chwili w swoim urzędowym mundurze. Zgaś światło.

Ciemność ogarnęła mieszkanie. Trzasnęły drzwi wejściowe. Słychać było kroki schodzących na dół. Potem zaległa cisza.

Długa chwila upłynęła nim Jaś odważył się opuścić swoją kryjówkę. Gdy w jednym miejscu skrzypnęła pod jego krokami podłoga, stanął i wstrzymał oddech. Cisza aż dudniała w uszach. Nagle w głębi ciemności zaterkotało głośno dzwonek. Jaś skoczył w tamtą stronę, potoczył po drodze krzesło, które z łoskotem upadło, odnalazł jednak stojący na stoliku budzik i mocno go do siebie przycisnął. Zegarek przez kilka jeszcze sekund terkotał na jego pierści, wreszcie ciszył. Wtedy dopiero postawił go na dawnym miejscu i na palcach zaczął się ostrożnie skradać w kierunku wyjścia.

W progu nadepnął na kawałek tektury. Schylił się odruchowo. Było to pudełko po papierosach. Trzymając je w zaciśniętej dłoni, przeszedł do pokoju, w którym przed kilkoma zaledwie minutami rozmawiał był z Witkowskim. Ciało zamordowanego, rzucone na środek pokoju, zarysowywało się w ciemnym mroku ogocnym, nieruchomym kształtem. Jaś, chcąc je obejść jak najdalej, ostrożnie zaczął się posuwać wzdłuż ściany. Natrafił wreszcie na drzwi do przedpokoju, potem już w zupełnych ciemnościach — na drzwi wyjściowe. Przez chwilę, nie mogąc odnaleźć zamka, szamotał się przy nich, wreszcie ustąpiły. I dopiero, gdy usłyszał ich trzaśnięcie, rozluźniło się w nim napięcie nerwów. Nie zważając, że na całą kamienicę łocmo ciężkimi butami, pędem zaczął zbiegać na dół. Już w nisko sklepionej sieni potrafił jakiegoś mężczyznę, nim się ten jednak zdążył zorientować, Jaś był na ulicy. Lecz i tam się nie zatrzymał. Biegł dalej, jakby go sfora psów ścigała. Kilku przechodniów obejrzało się za tym pędzącym na osłup wyrostkiem, ginął im jednak zaraz z oczu we mgle.

Tymczasem Jaś minął bramę Floriańską i dalej biegł w głąb opustoszałych Plantów. Wtem całą siłą rozpędu wpadł na idącego naprzeciw człowieka. Chciał się cofnąć, lecz ten przytrzymał go silnymi rękoma. Szarpnął się więc rozpaczliwie.

— Spokojnie, szczeniaku — mocniej go tamten ścisnął za kark. — Chcesz po zębach dostać?

Był to chłopak może osiemnastoletni, wysoki, w bericie i nieprzemakalnym płaszczu.

— Chcesz?

— Jaś ciężko dyszał.

— Ja nieumyślnie, proszę pana. Pan mnie puści.

— A będziesz na przyszłość uważać?

— Będę.

— To pamiętaj, szczeniaku. Zwiewaj! Jaś, odtrącony na skraj alejki, poślizgnął się na błotnistej ziemi i upadając uderzył twarzą o poręcz ławki. Ale dopiero po dłuższej chwili, gdy się już podniósł i przysiadł na skraju ławki, poczuł pod językiem smak krwi. Odruchowo wyprostował zaciśnięte kurczowo palce: z dłoni wypadło mu pudełko po papierosach. Nie schylił się po nie. Dojrzał tylko przy mętym poblasku niedalekiej latarni, że na spodzie pudełka narysowana jest długa łodyżka zakończona kwiatem róży. Patrząc na ten rysunek, dotknął palcami obolałego miejsca: miał wargę głęboko rozciętą od wewnątrz i teraz szybko mu puchła. Zwiłżając językiem piekące obrzmienie, przymknął powieki. Ogarnęło go straszliwe zmęczenie i sennosc. Cisza była dokoła. W górze, wśród drzew, szeleściła mgła.

Jerzy Andrzejewski



dzą mi się uczyć, to żebym przyjechał do Krakowa i dał mi wtedy adres.

Mężczyzna podniósł się i ciągle popykając z fajki rozpoczął wędrówkę po pokoju. Jaś umilkł i miał czapkę. Wreszcie odezwał się cicho:

— Czy towarzysz Nowotniak daleko wyjechał, proszę pana?

— Niedaleko, chłopce, do Zakopanego.

Błysk nadziei drgnął w niebieskich oczach Jasia.

— To może ja bym mógł...

— Nie, chłopce, to na nic. Towarzysz Nowotniak jest poważnie chory, leży w sanatorium, rozumiesz? Nie wyleczył się, widzisz, dobrze po tym postrzale. Jak tu przyjechał, to zaraz zaczął pracować, rozjeżdżał w teren deszcz nie deszcz, no i przeziębził się, wdało się za-

wpierw jak ja się urodziłem sieciał z panem Makowskim w jednym więzieniu. Jako polityczny.

Mężczyzna przerwał wędrówkę.

— Nie pamiętasz gdzie?

— Pan Makowski mówił, ale już nie pamiętam.

— We Wronkach może? w Sieradzu? Nie pamiętasz?

— Nie.

— No, mniejsza z tym. Zaraz, a jak ty się nazywasz?

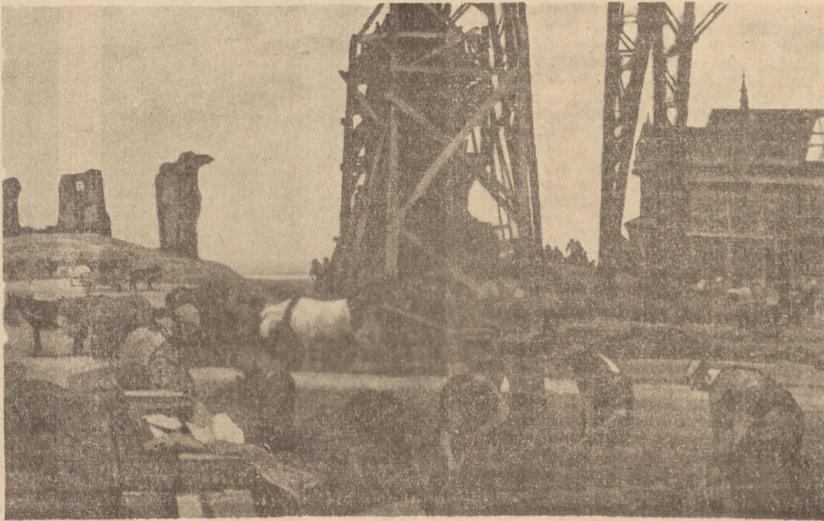
— Sikora, proszę pana. A tatusi Wiktor miał na imię. Pan może słyszał o tatusiu?

— Nie, chłopce, nie słyszałem. Przed wojną dużo takich jak twój ojciec siedziało po więzieniach. A co się stało z tym twoim opiekunem?

## SKIEJ WYSTAWY PLASTYKI



Aleksander Kobzdej — Podaj cegłę



Stanisław Czajkowski — Prace przy odbudowie kolumny Zygmunta

foto — J. Piotrowicz

STANISŁAW MARCZAK - OBORSKI

# „Sprawa Anny Koterskiej“ i inne sprawy

(Prapremiera sztuki Lubeckiego w teatrze olsztyńskim)

Bohaterka sztuki Lubeckiego, wbrew sugestiom tytułu, wcale nie nazywa się Anna Koterska. Jest nią bowiem — fabryka. Zakłady przemysłu włókienniczego, w którym rozgrywa się akcja, gdzie najważniejszą sprawą jest produkcja. W historii fabryki zapisany będzie przede wszystkim fakt, że zdobyła przedchodni sztandar pracy. Sabotaże i trudności wspominać się będzie jako przejściowe epizody. Ludzie, którzy ich próbowali, zostaną z czasem zapomniani.

Tak jest w fabryce. W teatrze jednak najbardziej interesuje nas człowiek. Sprawy produkcji są tutaj o tyle „fotogeniczne“, o ile autor potrafi pokazać, jak wiążą się, jak wpływają na życie pracowników, jak ważnym są w życiu czynnikami w kształtowaniu ich świadomości klasowej. Lubecki rozpoczął sztukę od rozmowy o niepokojącym spadku produkcji — zakończył optymistyczną wiadomością o pokonaniu trudności. — A sprawa Anny Koterskiej? Zjawia się dopiero w drugiej akcie i do ostatniego zapadnięcia kurtyny pozostaje nierozwiązana.

Streśmy po krótko tok wydarzeń.

Otóż organizacja dywersyjna na terenie fabryki zdołała namówić zidiociałą sprzątaczkę Koterską do podpalenia magazynów. Zbrodniczą akcją udaremnienia majstra Kaban, który dotychczas uprawiał sabotaż, ale w krytycznym momencie przejął. Prokurator przeprowadza śledztwo, winni zostają ujęci i oddani pod sąd. Praca rusza pełną parą.

Aktorami tej historii są ludzie z załogi fabrycznej, robotnicy. Nawet dyrektorka jest była tkaczką, przedownicą pracy. A więc pierwsza na scenie sztuka polska, rozgrywająca się w środowisku proletariackim — podkreślamy to z radością. Niemniej będziemy się prawować z autorem o ujęciu niektórych postaci.

Większość z nich ma charakter „statyczny“. Biorą udział w przebiegu wypadków, ale pisarz nie pokazuje nam wyraźnie, czy i jak wpływa to na rozwój ich postaw społecznych. Takimi jednak pozytywnymi figurami są: dyrektor Denysiowa, jej mąż, przewodniczący rady zakładowej Kortys, prokurator Wandejki — z drugiej strony niezmiernie negatywny buchalter Darlewicz. Są też inni, na których wypadki w fabryce złożyły swój ślad — majster Kaban i robotnica Warzechówna — pomówimy o nich jeszcze. Dotychczas, mimo wszystkich różnic, obracamy się w świecie postaci realistycznych. Ale jest jeszcze Anna Koterska. I tu dojdziemy do literackiego aspektu jej „sprawy“.

Przy lekturze nowych, współczesnych sztuk polskich spotykamy się niejednokrotnie z mało szczęśliwym chwytem. Pisarze, jakby nie dowierając fakturze reportażowej, wprowadzają „dla ozdoby“ czy też dla wzmocnienia wyrazistości artystycznej utworu — postacie, których sugestywność polega na bliżej nieokreślonej dziwności, na patologii. Rowdowód tego jest prosty, choć mało zasztywny. W sztukach mieszczańskich od przełomu XIX i XX wieku panowała moda na bohaterów-alkoholików, wykołajców, lumpenproletariuszy. W dekoracjach dramatu nastrojowego czy psychologizującego postacie tego autorstwa znakomicie pełniły swoją rolę. We współczesnej, realistycznej w zasadzie sztuce powodują zgryzot kompozycyjny, pacyzą sens utworu.

Lubecki, jak się wydaje, chciał przedstawić niebiałe społecznie zjawisko proletariackiej skrzywdzonej ale nieświadomej, idącej na lep pociech religijnych, użytej jako ślepe narzędzie przez dywersantów. Szpieg Darlewicz powiada: miałem instrukcje od moich władz krzyżystania z pomocą kobiet nabożnych. Otóż taka nabożna, przelietna, obalamująca kobieta miała być Koterska. Autor wyposażył ją jednak w dodatkowe, „upiększające“ cechy: to nalogowa pijaczka, sfanatyzowana religijnie, stojąca na pograniczu niernormalności. Takie ujęcie czyni kazus Koterskiej klinicznym, a co za tym idzie, odbiera mu ostrą wymowę socjalną.

W przedstawieniu olsztyńskim błąd Lubeckiego pogłębiła jeszcze wykonawczynie roli Halina Starska — ubrana w lachmany z narzuconym na nie ażurowym czarnym szalem. Sceny z Anną — zresztą pełne ekspresji i mocno postawione aktorsko — nabrały charakteru jakiejś prawie niesamowitej tragikroteski.

Inne zastrzeżenia budzi — pokazana w rozwoju — sylwetka majstra Kaban. O jego przemianie wewnętrznej decyduje nie wzrost uświadomienia klasowego, ale przede wszystkim przesłanki ogólnomoralne (wzrusza go krzywda Warzechówny, której strzaskano palce, oburza czynnym stosunku Darlewicza do Koterskiej). Są jeszcze inne niedomyślenia w sztuce. Wątpliwości budzi stopień czujności tak pozytywnej w intencjach autora postaci, jak dyrektor Denysiowa. Wie ona o akcji dywersyjnej na terenie zakładów, podejrzewa trafnie konkretne osoby — a nie potrafi zaobiec wielkiemu sabotażowi, udaremnionemu (zresztą przypadkowo) właśnie przez Kaban.

Bardzo możliwe, że niejedyn widzący przed siebie wszystkim akcję w tak żywym, pełnym tempa, interesującym przedstawieniu jak olsztyńskie — nie zwróci na te rzeczy uwagi. Pamiętajmy jednak, że robotnicy (dla których sztuka została napisana) są publicznością myślącą i spstrzegawczą.

Najbardziej w utworze jest akt ostatni (śledztwo), w którym mówi się przeważnie o rzeczach wiadomych już widzowi. Happy end spreparowany tro-

chę „na hurra“. Fabryka zdobywa przedchodni sztandar pracy, podczas gdy na scenie widzeliśmy dotychczas same niepowodzenia i katastrofy. A już zręko winy Warzechówny i Kortysia przypominają żywo prymitywne finały dawnych „sztuczek ludowych“.

Przy niedawnej okazji przedstawienia „Zapory“ Dybowskiego zauważyłem, że w sztukach nowatorskich, poszukujących wyrazu dla nowych treści — recenzentowi znacznie łatwiej dostrzec potknięcia dramatopisarskie, niż zdać sprawę ze wszystkich pozytywnych.

„Sprawa Anny Koterskiej“ pomimo niedociągnięć jest sztuką ambitną treściowo, pokazującą środowisko robotnicze w ogniu walki klasowej i walki o podniesienie produkcji. Dla tych pierwszorzędnych walorów prapremierę sztuki Władysława Lubeckiego trzeba uznać za ważne wydarzenie teatralne.

Autor potrafił wychwycić nowy typ konfliktów, jak na przykład niechęć konserwatywnego majstra Kaban do nowomianowanej dyrektorki, do niedawna podległej mu robotnicy. Zdecydowanie udało się również historia zalamania przodownicy pracy, a po wypadku z palcami, instruktorki — Warzechówny.

Teatr im. Jaracza dokonał z autorem przy współpracy reżysera Stanisława Miłskiego i dramaturga Janusza T. Dybowskiego inteligentnych i celnych przeróbek sztuki. To też warto, aby teatry które będą wystawiać „Annę Koterską“ korzystały z egzemplarza olsztyńskiego.

Nieograne środowisko bohaterów stawia przed aktorami trudne zadanie. Sprawa właściwego oddania postaci robotników na scenie jest palącym zagadnieniem, z którym nie wszystkie teatry dają sobie radę. W omawianym wypadku mamy do zanotowania trzy osiągnięcia. Maria Ursynówna z dużym talentem zbudowała postać młodej dyrektorki. Szorstkość i zamasztyście jej gestów dobrze komponowała się i kontrastowała z odruchami kobiecymi. Starannie opracowane różnicowanie tempa dialogów wyraźnie charakteryzowało dzieląca a borykającą się z ciężkimi trudnościami

pracownicę. — Stanisław Igar dał przekonującą i bardzo ludzką postać Kaban. Przejrzyste wypunktował proces przemiany wewnętrznej majstra, a także z całą brawurą gasił pożar w zakończeniu drugiego aktu. — Walentyna Lisowska prosto i naturalnie, z bezpretensjonalnym wdziękiem zagrała Kazię Warzechównę. — Nie można tego niestety powiedzieć o Jerzym Marr — filmowo szampowym, eleganckim i zimnym „czarnym charakterze“.

Jedną trzecią zespołu olsztyńskiego stanowią zupełnie młodzi aktorzy, co musiało się odbić na wykonaniu pozostałych ról. Mąż dyrektorki — Denys, z długimi włosami i papierosem zwisającym z kąćka ust, wyglądał raczej na apasza niż na dzielnego kierownika stacji traktorowej. Prokurator Wandejki w zamieszanych butach i modnym kapelusiku, wymieniający z protokolantem porozumiewawczo-drwiące spojrzenia w czasie śledztwa — słabo reprezentował powagę swojego urzędu.

Scenografia Józefa Zboromirskiego pokusiła się o wszystkie efekty, jakie można było wyciągnąć ze sztuki. A więc: hala fabryki włókienniczej pracującej pełną parą; żywy ogień z płomieniami i kłębam dymu nie ustępujący zaprawdę pożarowi z „Zakonu Krzyżowego“ w Warszawie; nocna makieta miasta za oknami jak w festiwalowym przedstawieniu „Moskiewskiego charakteru“. Do tego jeszcze prawdziwe rekwizyty: większa ilość afiszów, próbki tkanin, gaśnica, wąż pożarowy — trudno wszystko pamiętać. Taki ostry autentyzm bywa czasami ryzykowny. Na przykład kiedy prawdziwy (a nienakrecony) zegar uparcie stoi przez całą odsłonę.

Solidaryzujący się z koncepcją dekoratora reżyser zapowiadał rozpoczęcie aktu dźwiękiem syreny fabrycznej — zamiast tradycyjnego gongu.

Chwaląc teatr olsztyński dodam na zakończenie, że „Sprawa Anny Koterskiej“ jest po „Zaporze“ Dybowskiego i „Błękitnym tonie“ Lysakowskiej — trzecią prapremierą polską na przestrzeni roku.

Stanisław Marczak-Oborski



„Sprawa Anny Koterskiej“ Władysława Lubeckiego. Akt III. Od lewej: Leszek Grzmociński w roli Kortysia, przewodniczącego rady zakładowej, Stanisław Igar w roli majstra Kubana, Jan Gądkowski w roli robotnika Strączka. Reżyserował St. Miłski, dekoracje Józefa Zboromirskiego



„Sprawa Anny Koterskiej“. Od lewej: Stanisław Igar, Walentyna Lisowska

foto — Nowacki, Olsztyn



„Sprawa Anny Koterskiej“. Od lewej: Jerzy Marr w roli Stanisława Durlewicza, Halina Stawska w roli Anny Koterskiej

KONSTANTY PUZYNA

## „Moralność Pani Dulskiej“ w Teatrze Nowym

Ze Gabrieli Zapolska była dobrą komediopisarką, a „Moralność pani Dulskiej“ jej najlepszą sztuką — wiemy nie od dziś. Ze sztuka ta weszła prawie do klasycznego repertuaru scen polskich — wiemy również. I chyba słusznie, że weszła. Ale padanie przed nią plackiem, jako przed arcydziełem, wielkiego sensu nie ma. Spośród polskiej produkcji dramatycznej przełomu XIX i XX wieku, podpadającej pod określenie mieszczańskie „małego realizmu“ — „Głupi Jakub“ Rittnera komedii tej co najmniej dorównuje, „Karykaty“ J. A. Kisielewskiego może ją nawet przewyższyć. Póki mówimy o rzemiośle pisarskim, konstrukcji dramatycznej, poziomie intelektualnym. Kiedy zaś dojdziemy do zagadnienia horyzontów myślowych, świadomości społecznej — w całym tym rodzaju dramatycznym znajdziemy właściwie to samo: ograniczoną widzenia, krytykę panujących stosunków na tyle jeszcze celną, aby utwory powyższe dały się włączyć w szeroki nurt realizmu krytycznego — na tyle już ciasną i krótkowzroczną, że musimy mówić o małym, nie wielkim realizmie. Miejsce wielkiego konfliktu Balzaca: feudalowie — burżuazja, miejsce wielkiego konfliktu Gorkiego: burżuazja — proletariat, zajma tu drobne konflikty wewnętrzburżuazyjne, awantury rodzinne Zbyszka Dulskiego.

Atak na Zapolską? Bynajmniej, poruszone sprawy są przecież aż nadto znane. Nie do Zapolskiej zgłaszamy pretensje — lecz zgłaszamy je o Zapolską. „Moralność pani Dulskiej“ w jednym miesiącu, marcu br. miały na warsztacie — w próbach lub na scenie — cztery polskie teatry. Do końca sezonu 1950 pozostaje prawie 9 miesięcy. Czyli grozi nam tym systemem jeszcze 36 scenicznych edycji „Dulskiej“. Śmiech śmiechem, ale całe zjawisko nie jest wymysłem krytyka. Kiedyś w „Twórczości“ zamieścił Kazimierz Wyka artykuł pod znamienym tytułem „Renesans Zapolskiej czy omdlenie teatru?“ Pytanie to znów zdaje się być aktualne. A fakt, że z Szekspira gra się w kółko te same trzy czy cztery komedie, że na „Psa ogrodnika“ rzucili się polskie sceny, jakby Lope de Vega napisał jedną sztukę a nie około 2000 — fakt ten sugeruje jedną odpowiedź: omdlenie. Może tylko chwilowe, może po wysiłku festiwalowym teatry muszą nabrać oddechu. Niemniej wyraźnie, „Trzeba coś zagrać. Co? Jakiegóż pewniaka. No, to dawaj Zapolską“. Dlatego też należy na tego omdlonego wylać wreszcie publicznie kubel zimnej wody. Może się ocknie.

Powtarzamy: nie atak na Zapolską! Zapolska jest dziś prawie klasykiem, Zapolską grać można i warto. Ale nie zapychać nią dziury w repertuarze, kiedy się nie innego znaleźć nie potrafi, i zastaniać się okrzykami, że to arcydzieło. Nie iść po linii najmniejszego oporu, zdobyć się na odważne poszukiwania repertuarowe — tego właśnie „domagamy się od teatrów“. Bo jeśli kilka scen zaczyna u nas jednocześnie występować Zapolską, to wiadomo, że nie renesans Zapolskiej obserwujemy, tylko z planami repertuarowymi jest nie dobrze.

Bezpośrednio do warszawskiego Teatru Nowego, który wystawił właśnie „Moralność pani Dulskiej“, pretensji jednak nie mamy. Ponieważ odważył się w swoim przedstawieniu na dwa eksperymenty niezwykle interesujące: na obsadzenie roli Dulskiej Mieczysława Cwiklińskiego oraz roli Hanki Ireny Eichlerówny. Zapolska nie jest więc tutaj normalnym zapychaniem luki w repertuarze, a widz idzie na spektakl z dużą dozą emocji: czy próba się udała?

Udała się. Mieczysława Cwiklińska gra Dulską po raz pierwszy, gra w 50-lecie swojej pracy scenicznej. Jak potrafi zagrać Zapolską, pokazała niedawno w „Skizach“. Ale jej genrem scenicznym były ostatnio przede wszystkim role fredsowskie oraz kreacje we współczesnych komediach wielkomieszczańskich typu „Archipelagu Lenoir“. A więc damy stateczną, doskonale ułożoną i również doskonale urodzoną, lub przynajmniej mającą takie o sobie mniemanie, osoby pełne dystynkcji i szlachetności. Tu ujawnia się najkapitałniej rodzaj talentu Cwiklińskiej i jej predykcja do cieniowego, pełnego finezji psychologizacji, bardzo komediowego, nie farsowego, humoru. Jej Dulska jest rewelacyjna dzięki temu, że zachowuje wiele z owej właśnie powściągliwości i dystynkcji. Mało tu dostrzegamy wulgarności i krzykliwości dotychczasowych Dulskich polskiej sceny; gra jest spokojna, oszczędna w geście, charakterek i stanowisko domowego tyra znanca Cwiklińska tonem głosu bardziej niż natężeniem, maską twarzy bardziej niż mimiką. Dulska Cwiklińskiej przestaje być ordynarną drobniomieszczańką, grawituje ku sferze

wielkomieszczańskie salonu, nie Juliasiewiczów już nawet, ale Borkowskich z „Karykaty“. Zaznacza się to nawet w kostiumie, w jej sukniach i kapeluszach stonkowo jeszcze „gustownych“ i wykwiutnych, w jej czystym zupełnie, wbrew dotychczasowej tradycji, szlafroku. Satyra Zapolskiej nie stępiła się przez to, lecz wyostrza: Cwiklińska pokazuje, że dulszczyzna nie polega na rozdeptanych pantoflach i papilotach na głowie, a zarazem bije w dulszczyznę znacznie bardziej utajoną i znacznie bardziej powszechną, niż ta, którą 44 lata temu dostrzegła autorka „Panny Malczewskiej“.

Hanka Ireny Eichlerówny jest drugą pasjonującą rolą spektaklu. Rolą niesłychanie nierówną, gdzie olbrzymia inwencja artystyczna aktorki wyladuje się w szeregu pomysłów dosłownie walczących ze sobą: każde wejście Eichlerówny sugeruje inną koncepcję roli. Zasadniczym zrebem koncepcyjnym wydaje się tu być interpretacja Hanki jako zahukanej, nieporadnej, niezręcznej dziewczyny wiejskiej, „tłumoka“, który w piecu nie umie napalić — jak wspomina jej Dulka. Zarazem koncepcja honoru postpowanej proletariuszki, honoru niezwykle mocno wyakcentowanego w ostatniej scenie. Rola jest w dużej mierze przepychologizowana, nieobliczalność celowo niezręcznych ruchów, przebliski żalobno-jeśliwego tonu, na jakim grała Eichlerówna poznańska, „Fedre“ Racine'a — chwilami zaciekawiają, chwilami po prostu denerwują. Ale przychodzi ostatnia scena i ona okupuje wszystko: scena rozegrana wstrząsająco, z równą finezją psychologiczną co wysoka klasą aktorskie-

go rzemiosła. Hanka w Teatrze Nowym świadczy raz jeszcze, że równie bogate jak nieobliczalne aktorstwo Ireny Eichlerówny może stać się kijem w mrowisku polskiego teatru, drożdżami, na których wyróżnie niejedyn styl gry i interpretacji ról.

Jest jeszcze trzecia kreacja wysokiej klasy w warszawskim przedstawieniu „Dulskiej“. Wł. Sheybała. Jego Zbyszko jest również bardzo nowy, oczyszczony z tradycji dotychczasowych ujęć roli. Jest on cyniczny całkowicie świadomy swojego koltuństwa i maksymalnie z nim pogodzony; swoich odruchów buntu sam właściwie nie bierze poważnie, nawet w wielkiej scenie kończącej drugiego aktu jego wybuch jest znacznie słabszy niż zazwyczaj. Wobec tuszowania owych „porwywów duszy“, traktowanych bardzo serio zarówno przez Zapolską, jak przez współczesną jej widownię, Zbyszko Sheybała staje się również jako antymodernistyczny, a bliski naszemu dzisiejszemu spojrzeniu na jego konflikty. Rola ta jest obok roli Cwiklińskiej najkonsekwentniejsza i najbardziej przemysłowa w koncepcji a przy tym świetnie grana: momenty nagłych zalamania Zbyszka, drobnych zawahań, scenę przy piecu z Melą, scenę pierwszą Juliasiewiczowej w trzecim akcie — rozgrywa Sheybała z subtelnością i świeżością środków technicznych godną najwyższej pochwały.

Ale poza tymi trzema rolami kończą się zalety przedstawienia a zaczyna chaos. Reżyseria Ireny Babel nie daje właściwie przedstawieniu żadnej określonej linii. Można podejrzewać zaledwie, że linia ta miała być koncepcja delikatnego, aluzyjnego współczucia „Dulskiej“. Wskazują na to niektóre suknie Dulskiej, krój „wdziałka“ Juliasiewiczowej, szaro-niebieski garnitur Zbyszka, w którym i dziś mogłyby się pokazać na ulicy, jego kapelusz przypominający niedwuznacznie „sombiera“. Wskazuje też pośrednio koncepcja oglądzonej i wytwornej dulszczyzny w kreacji Cwiklińskiej, antymodernistyczna kreacja cynicznego lowelasa u Sheybała. Ale już dobra Mel B. Sojeckiej w finale trzeciego aktu zatracą przecież moderną, kiepski Dulski M. Winklera jest całkowicie tradycyjny w ujęciu, reszta ról — i nieciekawa, i nijaka. Fatalne plastycznie dekoracje M. Sigmunda są również w pomysłcie zupełnie nieudane; przyjemny kolorysty ścian nie przeładowanych landschaftami zdaje się nawiązywać do „kulturalnej“ Dulskiej, jaką ukazuje Cwiklińska, ale przeczą temu zniszczone pluszowe fotele i wachlarz z malowidełkami na ścianie; olbrzymia, ohydna lampa pośrodku sufitu stara się znów dać jakąś symboliczną syntezę dulszczyzny w sposób nie najbardziej przekonujący. I jeśli nasze zebrane tu uwagi o przedstawieniu zechemy jakoś podsumować, będziemy zmuszeni przyznać w końcu, że spektakl Teatru Nowego poza trzema ciekawymi rolami posiada jedną tylko cechę: jest zlepką elementów, które przemawiają do widza najrozmaitszymi językami scenicznymi, ale ich wzajemne porozumienie jest nieosiągalne, a przynajmniej — nie osiągnięte.

Konstanty Puzyra



„Moralność Pani Dulskiej“ reż. Irena Babel, dekoracje i kostiumy Mariana Sigmunda. Mieczysław Cwikliński w roli Dulskiej



„Moralność Pani Dulskiej“ Irena Eichlerówna w roli Hanki i Władysław Sheybała w roli Zbyszka

foto — Edw. Hartwig

HELENA KRAJEWSKA

## ZMIENNE POJĘCIA PIĘKNA

Na marginesie Pierwszej Ogólno-polskiej Wystawy Plastyki

**I**WAN Turgieniew, hołdujący poglądom, że istnieje asolutne pojęcie piękna w sztuce, powiedział kiedyś: Wenus Milońska jest bardziej bezsporna, niż postulat 1789 roku. Miał zupełną rację, podając w wątpliwość trwałość zasad wielkiej rewolucji burżuazyjnej. Lecz, jako idealista ocenił fałszywie rozwój upodobań estetycznych różnych społeczeństw ludzkich i nie powiązał ideału piękna, jakim jest dla niego Milońska Wenus, z zasadami 1789 roku, które właśnie wydzignęły antyczną rzeźbę, jako wzór doskonałości dla sztuki burżuazyjnej.

Jerzy Plechanow polemizuje z idealistyczną estetyką Turgieniewa: „Jest na świecie bardzo wielu ludzi, którzy nie tylko „podają w wątpliwość” zasady 1789 roku, lecz nawet nie mają o nich żadnego pojęcia. Zapytajcie Hotentota, który nie przeszedł przez europejską szkołę, co myśli o owoch zasadach. Przekonacie się, że nawet o nich nie słyszał. Lecz Hotentot nie wie nie tylko o zasadach 1789 roku, nie wie również i o Wenus Milońskiej. A jeśli ją zobaczy, na pewno „poda ją w wątpliwość”. Ma on własny ideał piękna, którego wizerunek spotyka się często w dziełach antropologicznych pod nazwą hotentockiej Wenus...”

Wcześni chrześcijanie mieli swój ideał postaci kobiecej. Można go spotkać na ikonach bizantyjskich. Czciociele tych ikon z ogromną nieufnością odnosili się do bogini miłośkiej i do wielu innych. Podnieśli je do godności diabła i niszczyli ich posągi wszędzie, gdzie tylko mieli po temu okazję.

Cały sens historii sztuki epoki Odrodzenia — rozpatrywany z punktu widzenia pojęcia piękna — na tym właśnie polega, że chrześcijaństwo — ascetyczny ideał postaci ludzkiej stopniowo ustępuje miejsca tym ziemskim ideałom, które zrodziły się na tle wywoleńskich ruchów miast i którym okrzepnąć pomogły wizerunki antycznych diabła.

Dlatego też my, wbrew Turgieniewowi, możemy twierdzić, że Wenus Milońska stała się w nowej Europie tym bardziej bezsporna, im bardziej dojrzała ludność europejska do proklamowania hasła 1789 roku. To nie paradoks, lecz nagi fakt historyczny.”

Wyzwoleńcze hasła burżuazyjnej rewolucji 1789 roku przekuwają się w ciągu XIX wieku w narzędzia ucisku klasy robotniczej.

Antyczny ideał doskonałego wolnego człowieka błąka się prawie przez cały ten wiek w fałszywych alegorycznych scenach malowanych dla uświetnienia władzy burżuazyjnej.

Zycie nie pozwala jednak sztuce zakrzepnąć w eklektycznych martwych kanonach. Dzieła artystów zaludniają żywi mieszczanie Courbetta, chłopci Milleta, górnicy Meuniera, prasowaczki Degasa itp.

Razem z życiem wdzierają się do sztuki wszystkie konflikty społeczne, w których ujawnieniu nie jest bynajmniej zainteresowana rządząca klasa burżuazyjna.

Estetycy tej klasy wypracowują nowe pojęcie „sztuki dla sztuki”, tzn. takiej sztuki, która nie jest realistycznym odbiciem rzeczywistości, z której usunięty zostaje czynnik moralno-społeczny oceny zjawisk, usunięcie z dzieła sztuki treści społecznych sprowadza twórczość artysty z jednej strony do pasywnej rejestracji wyników rzeczywistości (impresjonizm), z drugiej strony — do obrazowania świata według dowolnego widzimisię artysty (ekspresjonizm).

We Francji, oczywiście burżuazyjnej rewolucji, wielu artystów przyjmuje chętnie rentierską postawę zwolenników „sztuki dla sztuki”. Połowiczna rewolucyjność impresjonistów w latach 60-tych nie doprowadza do poważniejszych konfliktów między tymi artystami a ich środowiskiem, burżuazja stosunkowo szybko godzi się z technicznymi nowościami tego kierunku, dając one pewne zadowolenie estetyczne, jednocześnie nie zagrażając „porządkowi publicznemu”. Jak wiadomo, żaden z impresjonistów nie zaangażował się w jakiegokolwiek formie w Komune Paryskiej, w przeciwstawieniu do realisty Courbetta.

W Rosji, gdzie równocześnie z francuskimi impersjonistami występują „Pieredwiżnicy” — pojęcia sztuki kształtują się w tym okresie zupełnie odmiennie. „Pieredwiżnicy” ofiarowują swą twórczość postępowym idiom swego czasu, dając w swych dziełach wyraz głęboko sięgającym konfliktom społecznym, obrazując okrucieństwo caratu i obszarnictwa, rozwarstwienie wsi i jej nędzę, niewolniczą pracę robotników przemysłowych itp. „Pieredwiżnicy” stworzyli najcenniejszą tradycję realistyczną w Europie w drugiej połowie XIX

w. „Sztuka dla sztuki” wtargnęła do Rosji w końcu XIX wieku wraz z zapóźnionym imperializmem.

Postępową tradycję „Pieredwiżników” podejmuje sztuka radziecka po zwycięskiej Rewolucji Październikowej. Kryteria realizmu socjalistycznego oparte o marksistowską teorię i praktykę twórczą artystów radzieckich są dziś podstawą nowych socjalistycznych pojęć piękna w sztuce. Bogaty dorobek sztuki radzieckiej nawiązuje do najszybciej rozwijającej się tradycji sztuki rosyjskiej i obcej. W Ojczyźnie socjalizmu sztuka staje się własnością całego narodu, jest ceniona i kochana przez całe społeczeństwo.

Antyhumanistyczne teorie usługujących estetyków imperializmu doprowadzają dziś w krajach kapitalistycznych do całkowitego odwrócenia się sztuki od życia. Odwrócenie to dokonywa się pod przewrotnymi hasłami rewolucyjności form, koloru, faktury, itp. Okres międzywojenny obfitował w sezonowe kierunki artystyczne, których krótki żywot zależał od bardziej lub mniej efektownego dziwactwa formalnego.

W tę gorączkową maskaradę niedorzeczności wciągani są często postępowi artyści, którzy wierzą szczerze, że anarchia, która ogarnęła sztukę, jest wyrazem buntu przeciw niesprawiedliwości społecznej. Nie potrafią oni ocenić prawdziwego sensu formalizmu.

Jakieś już powiedzieli, klasa rządząca krajów kapitalistycznych nie jest zainteresowana w ujawnianiu konfliktów społecznych, co więcej: zwalcza z całą zaciętością wszelkie postępowe idee, które jej nie prócz zagłady nie mogą przynieść.

Cechami podstawowymi prawdziwej sztuki są: postępową treść ideową i powszechnie czytelną realistyczną formą. Zlekceważenie jednej z tych cech pozbawia dzieło wartości artystycznych.

Jeśli artysta rewolucyjną nawet tematykę zobrazuje w dziwacznych, nieprawdopodobnych, dowolnych formach, w nieprawdziwym układzie przestrzennym, zaniedbując logikę gestu i charakterystykę psychologiczną — sfajzując treść obrazu, osłabi lub zgubił przekreśli jego oddziaływanie na widza. W ten sposób działa po myśli wrogi postępowi ideologii burżuazyjnej.

Jeśli artysta w czytelnej powszechnie formie zobrazuje bezkrytycznie przypadkowy wycinek rzeczywistości, ograniczając się do przedstawienia zewnętrznych cech zjawiska, nie wnioskując w sens jego wewnętrznych sprzeczności, nie ujawni walce dobrego ze złem i nie zamaniestuje swej wiary w zwycięstwo dobrego nad złem — wówczas stworzy dzieło społecznie i artystycznie obojętne lub pesymistyczne. W ten sposób działa po myśli wrogi postępowi ideologii burżuazyjnej.

Tym się tłumaczy fakt, że w przodujących krajach imperialistycznych skrajny formalizm i skrajny naturalizm sprzysięgły się dziś we wspólnym froncie walce przeciw realizmowi, przeciw prawdziwej sztuce.

Ideolodzy burżuazyjni, którzy w okresie walk wywoleńskich swej klasy sięgnęli po antyczny ideał człowieka w sztuce, dostosowali doskonale formy przeszłości do żywych treści swej epoki.

Ideolodzy burżuazyjni, którzy w okresie antyhumanistycznego zdziwienia imperializmu podsuwają artystom polinezyjskie totemy i abstrakcyjne znaki, jako tworzywo dla sztuki, sprowadzają twórczość artystyczną do anarchicznego belkotu, nie mającego nic wspólnego z żywą treścią naszej epoki lub wręcz wrogię jej.

Ginący ustrój kapitalistyczny niszczy sztukę i inaczej być nie może. Bez zrozumienia tej historycznej konieczności nie potrafimy dać należytej odpłaty fałszywym mitom o „nowoczesnych zdobyciach” kierunków formalistycznych w plastyce, tak powszechnie jeszcze pokutujących wśród naszych artystów.

Sztuka polska w okresie niewoli zachowuje w dużym stopniu odrębność narodową dzięki swej społeczno-wychowawczej roli w tym okresie. Lecz już w końcu XIX wieku, gdy Polska dostaje się w orbitę wielkokapitalistycznego imperializmu, patriotyczny nurt naszej sztuki ustępuje miejsca tendencjom kosmopolitycznym. Dwudziestolecie międzywojenne jest okresem pogłębiającego się procesu wynaradawiania się naszej sztuki. Modne kierunki francuskie, poparte najbardziej nieodpowiedzialnymi komentarzami teoretycznymi, przyjmują się u nas bezkrytycznie, tyle że z pewnym opóźnieniem. W okresie tym ocenia się całą naszą realistyczną tradycję, jako prowincjonalizm, nie mający wiele wspólnego z „prawdziwą sztuką”.

Podobna dyskryminacja stosowana jest do wszelkich realistycznych prób sztuki dwudziestolecia, trwa nadal, a nawet zaostrza się w pierwszych latach po wywołaniu. Sprzyja temu błędna linia polityczna tego okresu. Plenum sierpniowe PPR z roku 1948 i zjednoczenie partii robotniczych doprowadzają do podjęcia rewizji kosmopolitycznych tendencji na odcinku kulturalnym i artystycznym.

Konferencja plastyków w Nieborowie, Walny Zjazd ZPAP w Katowicach w połowie 1949 roku są kolejnymi etapami walki o nowe socjalistyczne kryteria sztuki polskiej. W myśl tych kryteriów zorganizowana zostaje w marcu b. r. I Ogólnopolska Wystawa Plastyki.

Jak bardzo ciążyło artystom naszym odosobnieniu spowodowane aspołecznością estetyki burżuazyjnej, świadczy fakt, że udział w Wystawie zgłosili wszyscy prawie czynni plastycy z całego kraju. Nie wszyscy są na wystawie reprezentowani. Złożyło się na to kilka przyczyn. Niektórzy plastycy nie potrafili przełamać formalistycznych nawyków, przez co wypaczyli lub całkiem przekreślili w swych pracach podjęty temat. Inni znów nie wyszli poza naturalistyczne kopiowanie przypadkowego wycinka natury, nie wnosząc nie twórczego do obrazu nowego życia Polski Ludowej. Spotykało się przykłady płaskiego nieporozumienia, gdy autor zaprezentował carskich kozaków „uwpółcześnionych” radzieckimi naramiennikami na płaszczech. Wielu autorów nie wykazywało elementarnych kwalifikacji zawodowych.

Nie należy z tego oczywiście wnioskować, że 628 prac, zakwalifikowanych do udziału w Warszawie, odpowiada wszystkim kryteriom przyszłej sztuki polskiej. Takiego wyniku nie mogła dać pierwsza próba powiązania sztuki z życiem i nie spodziewali się tego organizatorzy wystawy, znając ciasny zakres zainteresowań i możliwości realizacyjnych większości naszych artystów, wychowanych w formalizmie.

I Ogólnopolska Wystawa Plastyki pozyczyć się może szeregami poważnych osiągnięć artystycznych, otwierających nowe perspektywy naszej plastyce.

Próbę nawiązania do naszej rodzimej tradycji plastycznej nasyconej nową społeczną treścią podejmuje Juliusz Krajewski w obrazach „Rok 1944 na Lubelszczyźnie” i „Przedownica”. Wanda Wereszczyńska wyjawia odrębne cechy naszego krajozobrazu, zagubione pod naciskiem impresjonizmu w okresie międzywojennym.

Włodzimierz Zakrzewski w obrazie „Towarzysz Bierut wśród robotników” stawia sobie zadanie stworzenia nowego typu kompozycji nawiązującej bezpośrednio do nowej tematyki politycznej i społecznej Polski Ludowej. Reżyserię uroczystego momentu podejmuje Wojciech Weiss w obrazie „Manifest”. Romantycyzm naszego budownictwa rozwija malarz Stanisław Poznański („Budowa”) i Aleksander Kobzedź w obrazie „Podaj cegłę”.

Temat walce z analfabetyzmem znalazł wielu realizatorów. Czołowym osiągnięciem w tym temacie jest rzeźba Hanny Stachurskiej „Do szkoły po wiedzę”.

Bardzo istotną wartością I Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki jest całkowite bankructwo formalistycznych teorii estetycznych. Zetknięcie się artystów z żywą problematyką rzeczywistości zdomaskowało całą pustkę ideową i nieuctwo techniczne schyłkowej sztuki burżuazyjnej. Mit o nowoczesnych zdobyciach formalnych, reklamowany przez agentów kulturalnej ekspansji dolara, nie wytrzymał pierwszej próby życiowej, jaką była tematyka Wystawy.

Walki rewolucyjnej proletariatu, budownictwo socjalistyczne miasta i wsi, socjalistyczne współzawodnictwo pracy, walka z analfabetyzmem — oto opowieść o nowej Polsce, której zobrazowanie podjęli nasi plastycy i rozwiązali w miarę swoich sił, w miarę swego ideowego i zawodowego przygotowania. Jest to pierwszy od lat krok w naszej sztuce, zmierzający do organicznego powiązania twórczości artystycznej z postępowymi treściami naszego życia. Do obrazu, rzeźby i grafiki wraca człowiek, odwieczny aktor realistycznej sztuki, wraca często jeszcze nieporadnie, obciążony schorzeniami ekspresjonizmu czy surrealistów, często ledwie jeszcze zamaskowany w chińskich cieniach dekoracyjnych płam barwnych.

Człowiek nie opuści więcej naszej sztuki.

Zadanie artystów polskich jest dziś jasne: poznać życie prawdziwego twórczego człowieka, poznać postępową treść życia całego narodu, pokochać swój naród i miłość tę w sztuce wyrazić najdoskonalszymi środkami, jakie mu do rozporządzenia pozostawiła przeszłość i jakie wykują sam, teraz i w przyszłości.

Helena Krajewska

FRYDERYK WOLF  
U LITERATÓW POLSKICH

W dniu 1 bm. Związek Literatów Polskich podejmował czarną kawę akredytowanego przy Rządzie Polskim przedstawiciela

TADEUSZ DREWNOWSKI

## Objawienie krytyki „uniwersalnej”

W 12 numerze katolickiego tygodnika „Dziś i jutro” czytelnik znajdzie kilka artykułów o badaniach literackich. Po kilkuletnich dyskusjach i polemikach, w okresie zaciętej walki o naukowe oblicze polonistyki — zespół „Dziś i jutro” daje pewien ogólny zarys swego programu krytycznego.

W „Rozważaniach o krytyce” Lichniak, w spójnym głosie katolickiego krytyka — Mikołaja Rostworowskiego — w dyskusji o poezji, a także — choć w mniejszym stopniu — w artykule Hutnikiewicza o żywym stosunku do tradycji kulturalnych i w krytyce Kurzyny z książki Kotta o „Lalce” znajdujemy — zwłaszcza w deklaracyjnych częściach tych artykułów — wiele słusznych i nowych, w ustach tych publicystów, twierdzeń.

Lichniak, Rostworowski i inni formułują swój polityczny i czynny stosunek do budowy socjalizmu w Polsce, określają rolę krytyki literackiej grupy „Dziś i jutro”, która ma „na swój sposób torować drogę ku realizacji zwycięskiego programu socjalizmu”, krytykują swą niedawną postawę „esetyzujących mentorów rewolucji”, ostentacyjnie zrywają ze sztucznym wydzieleniem kultury z życia społecznego.

Jednakże przede wszystkim krytycy „Dziś i jutro” rzucają hasło otwartej krytyki ideologicznej bez żadnych iluzji „bezwzględnej obiektywizmu”. We wszystkich artykułach rozlega się wołanie o krytykę katolicką, konsekwentną i prostolinijną, bez nieuchronnych — jak to wynika z ich wywodów — jednostronności wszystkich dotychczasowych metod badawczych, krytyki uniwersalnej w katolickim duchu.

W pobieżnym i ogólnikowym przeglądzie Lichniak zastanawia się nad oceną głównych kierunków wiedzy o literaturze ze stanowiska uniwersalizmu katolickiego. Bez fałszywego wstępu (jak sam powiada), ale z fałszywą moją — jak na wielokrotne agresora — skromnością, przyznaje Lichniak duże zdobycze marksistowskiej nauki o literaturze, sprowadzając je co prawda do wykazywania zaniedbanych przedtem związków między podłożem społeczno-ekonomicznym a twórczością literacką. Z podstawowych założeń katolickiej filozofii oraz ze sporządzonego renesansu nauki o literaturze Lichniak wyprowadza postulat bezwzględnej podporządkowania naukowej praktyki katolickiej koncepcji bytu — „współzależności świata materialnego i duchowego”.

Trzeba przyznać, że od tych ogólników autorzy niechętnie przechodzą do bliższych szczegółów. Im bliżej konkretnych problemów, tym twierdzenia są mniej konkretne. Powinniśmy się jednak zaznajomić z pewnymi postulatami tej uniwersalnej krytyki.

„Dobro, prawda i piękno... nie są wartościami realistycznymi, ale mają swoje znaczenie odwieczne i pozaczasowe. Powiedzmy szczerze i otwarcie, skłonni jesteśmy twierdzić, że dobro, prawda i piękno najpełniej są jako artykuły Boga, a działalność ludzka jest aktualizacją tych właśnie wartości w konkretnych dziełach. Stąd funkcja dzieła sztuki i funkcja poznawcza przejęcia estetycznego o tyle jest wytu-maczalna, o ile w jakiś sposób mówi o odwiecznych sprawach związku człowieka z Bogiem” (M. Kurzyna).

Kreślone drogi nowego rozwoju kończą się przy każdym rzeczowym zagadnieniu znanym zaukiem tradycyjnej nauki o literaturze. Teraz nas nie obchodzi subtelne spory teologiczne między drobnymi frakcjami idealistycznych znawców literatury. Jesteśmy w kregu schyłkowego literaturoznawstwa, od Kołaczłowskiego do Pignonia. Lichniak nie nadużył zresztą imienia nauki w swoim artykule. Sam chyba co do naukowości propagowanego programu nie ma specjalnych złudzeń. Hasło krytyki ideologicznej jest tu dobrowolną rezygnacją z rygorów nauki.

A na czym zamierzają oprzeć swą interpretację dzieł krytycy z „Dziś i jutro”? W okresie zupełnego rozkładu w burżuazyjnej nauce o literaturze mnożyły się najbardziej idealistyczne koncepcje co do sił napędowych rozwoju kultury. Historycy literatury bowiem albo umyślnie pragnęli zamaskować rzeczywiste dynamo dzieł kultury (aby nie przejąć innych konsekwencji wynikających z tego odkrycia) albo nie umieli dostrzec jego kół napędowych (wsłutek klasowego ograniczenia ich poznania). Na miejscu rzeczywistych praw rozwoju powstawały zastępcze automaty,

ciela Niemieckiej Republiki Demokratycznej, znanego powieściopisarza i dramaturga, min. dra Fryderyka Wolfa. Znakomitego gościa przywitał prezes ZLP Leon Kruczkowski, podkreślając nieugiętą postawę antyfaszystowską autora „Profesora Mamlocka”. Witał go nie tylko jako ambasadora Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Polsce, lecz także jako posła niemieckiej postępowej kultury, dążącego do zbliżenia kulturalnego między oboma narodami.

Minister Wolf w dłuższym i serdecznym przemówieniu podkreślił stanowczą wolę swego Rządu ugruntowania stosunków niemiecko-polskich na podstawach wzajemnego poszanowania, współpracy i przyjaźni. „Kto sprzeciwi się granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie — stwierdził minister Wolf — ten jest wrogiem narodu niemieckiego”. Minister Wolf wyraził przekonanie, że polsko-niemieckie stosunki kulturalne będą się coraz bardziej zacieśniać ku pożytkowi obu narodów. Spotkanie, trwające kilka godzin, cechowała bardzo serdeczna i przyjacielska atmosfera.

Jeden z nich polega na nieustannym zmaganiu się rozumu i uczucia: „Epoki jakiegospotegowanego uduchowienia, odczuwające życie i jego sens w kategoriach metafizycznych, przepłatają się z zadziwiającą regularnością z okresami racjonalizmu i trzeźwości, jakiegoś pogańskiego upojenia ziemią i jej sprawami. Jest w tym dowód, że działa w historii owo prawo przeciwności, akcji i reakcji, tak płodne w następstwa...” (A. Hutnikiewicz).

Poza tymi jałowymi schematami czyż da się odkryć rzeczywistą walkę ideologiczną, prawdziwo przyczyny i następstwa przełomów literackich? Pierwotne wprost w swym prymitywizmie psychologiczne prawo akcji i reakcji nie ma nic wspólnego z dialektyką rozwoju historycznego.

Ograniczam się tutaj z koniecznością do paru tylko najistotniejszych punktów omawianego „systemu”, a do nich należy również kwestia ideologii i artyzmu dzieła literackiego. Przestrogi Lichniaka, ażeby nie wprowadzać nonsensownego podziału na treść i formę, znajdują karykaturalną ilustrację w uwagach Hutnikiewicza o warstwie literackiej i w Kurzyny zarzutach pod adresem rozprawy Kotta o „Lalce”. Kurzyna cierpi na ślupotę i jawny badawczy konserwatyzm. Jeśli w pracy Kotta nie ma pracowych rejestrów wątków i motywów, skrupulatnych rozważań nad tempem akcji w różnych rozdziałach powieści, technicznego rozbioru konstrukcji dzieła literackiego, to zdaniem Kurzyny zagadnienia artyzmu pozostały na uboczu. Ale w rozprawie o „Lalce” można znaleźć wiele odkrywczych spostrzeżeń ukazujących, jak fałszywe w obrazie rzeczywistości są zarzem pęknięciami w artystycznej budowie dzieła literackiego. Interpretacja rozmaitych scen i sytuacji daje równocześnie charakterystykę realistycznej techniki pisarskiej. Ale ilekroć sens ideologiczny rozważa się łącznie z jego ukształtowaniem artystycznym — zgodnie z tezą o jedności dzieła literackiego — tyle razy Kurzyna nie może odnaleźć znanych mu skądinąd zagadnień formalnych.

Przez całe rozważania „Dziś i jutro” o krytyce przebiega sugestia, jakoby marksistowska historia literatury warunkami społeczno-ekonomicznymi mechanicznie determinowała twórczość literacką. Ze marksizm nie bierze pod uwagę złożonych pobołek składających się na utwór literacki, że nie uwzględnia skomplikowanych procesów powstawania dzieł sztuki — powtarzają się znane zarzuty katolickich personalistów. Trzeba tu raz jeszcze przypomnieć, że marksizm, bynajmniej nie negując tych komplikacji, uważa, że niekonsekwentna idealistów różnego typu „polega wcale nie na tym, że się uznaje pobołek idealne, lecz na tym, że nie posuwa się dalej, wstecz, poza nie, aż do powodujących je przyczyn”. (Engels, „Ludwik Feuerbach”, 67).

Lichniak przy każdej okazji, uparcie i systematycznie, usiłuje przemycić twierdzenie, że krytyka katolicka i marksistowska są w podobnej naukowej sytuacji: obydwie zależą od „przyjętych” założeń ontologicznych. Między krytyką ideologiczną w marksistowskim i katolickim sensie tego hasła jest najbardziej zasadnicza różnica — krytyka marksistowska jest oparta o naukowy pogląd na świat, podczas gdy katolicka krytyka ucieka w sferę teologii. Krytyka marksista dysponuje naukową wiedzą o świecie, krytyk-idealista — niesprawdzalną metafizyką swojej filozofii. A przecież nie chodzi o to, ażeby związki między faktami wypowiedziane ze starotestamentowych objawień, ale o to, aby je wytkrywać w samej rzeczywistości. Nie trzeba chyba tutaj przypominać klasycznego engelsowskiego określenia materialistycznego ujawniania zjawisk przyrody i historii, które polega na ich traktowaniu bez żadnych z góry przyjętych fantazji idealistycznych.

Przepaść między wiedzą a teologią, między materializmem historycznym a idealistyczną „cyklicznością” rozwoju, między nowatorską teorią sztuki a jej tradycyjną — wbrew zapewnieniom — karykatura, bardzo wyraźnie uzmysławia przepaść w krytyce literackiej między nauką a metafizyką. Publicyści „Dziś i jutro” ze swym programem krytyki „uniwersalnej” znajdują się na terenach metafizyki. I ani dziś ani jutro taka krytyka nie wyjdzie poza granice świątobliwej fantastyki.

Tadeusz Drewnowski

STANISŁAW TELEGA

# Przed „dziewiątą falą” w literaturze

Wśród wielu dziedzin nowego życia, do których sięga dziś pisarz, jest jedna, która przez swą specyficzność i obciążenia błędami przeszłości jest może trudniejsza aniżeli inne do zdobycia dla literackiego pióra. Myślę tu o zagadnieniu portów, żeglugi, osiedli rybackich, połowów dalekomorskich, współzawodnictwa morskiego, krótko mówiąc tego, co nazywamy gospodarką morską. Trudności, jakie dla literata nastrożają te właśnie zagadnienia, polegają nie tylko na konieczności zdobycia większego aniżeli gdzie indziej doświadczenia oraz rozległej wiedzy o morzu, lecz również na przewyższeniu wielu nagminnie jeszcze rozpowszechnionych, a fałszywych pojęć na ten temat. Pojęć, które należy zrewidować i poddać krytyce z równą ostrością i wyrazistością, z jaką uczyniono to na innych odcinkach literatury.

\*

W rok po wydaniu „Wiatru od morza” pisał Żeromski we wstępie do zbiorowego wydania dzieł Conrada Korzeniowskiego o konieczności stworzenia rodzimej „literatury morskiej”. Autor trylogii pomorskiej, nie określając bliżej charakteru tej nowej odmiany literatury, wskazywał tylko niedwuznacznie, że jej honorowym antenatem i żywym wzorem powinna być twórczość Conrada.

To wezwanie Żeromskiego z roku 1923 — poparte przykładem Conrada i własnym „Wiatrem od morza” — dało początek zjawisku, które, po włączeniu w nie również plastyki i muzyki, urosło do rangi autonomicznie pojętej „sztuki morskiej”, usiłującej wyodrębnić się nawet specjalną nazwą — marynistyką.

Jakie były powody tego sztucznego wyodrębnienia tematyki morskiej i awansowania jej do rzędu autonomicznej sztuki? Niewątpliwie decydującym był tu sam fakt odzyskania szczonego, lecz własnego dostępu do morza i próba włączenia go w gospodarcze i kulturalne funkcje życia państwowego. Zespalenie morza z resztą kraju odbywało się jednak w szczególnych warunkach i ustrójowych warunkach, utrudniających od początku właściwe podejście do tego zagadnienia. Ponadto odegrał tu rolę długowiekowy brak doświadczeń morskich w naszych tradycjach państwowych i kulturalnych. Na tym tle wytworzył się w społeczeństwie ówczesnym pewnego rodzaju „kompleks morski”, wyrażający się gwałtowną chęcią zaspokojenia pragnień, dzielących nas od morza i jego spraw. Ten kompleks morski znalazł obfitą popówkę w idealistycznych tendencjach, nurtujących nasze ówczesne życie kulturalne. Nie bez decydującego wpływu pozostał tu również fakt, że patronat duchowy nad narodzinami naszej „marynistyki” przypadł w udziale przede wszystkim Żeromskiemu i Conradowi — pisarzom, którzy mimo dzielącej ich różnicy poglądów i indywidualności, zgodni byli w idealistycznym, irracjonalnym traktowaniu życia.

Nie dziwne przeto, że problematyka morska w ich twórczości, przerzucająca akcent zainteresowania na psychologizm i egzotykę, odbierała zagadnieniu morza jego naturalną, przede wszystkim społeczną funkcję w życiu narodu, a przenosiła ją na poszukiwanie niezwykłych, irracjonalnych treści, które ludzkiej perspektywie szczególnej, rzekomo całkowicie różnej od „lądowych” zjawisk, odrębności. I chociaż u Żeromskiego — znajęcego morze tylko z ładu — zjawia się ono raczej jako radosny, u Conrada zaś jako wrogi żywioł (Conrad nazywa je niejednokrotnie ostrym słowem — the foe — wróg), to jednak u obydwojga odgrywa tę samą rolę — *górą nad człowiekiem*, jest tylko ślepy, na pół mistycznym żywiołem, określającym w przemożny, fatalistyczny sposób życie człowieka. To przypisywanie morzu nadmiernej roli w życiu człowieka, cofanie pojęć z nim związanych w epokę żaglowca (Conrad jak wiadomo nie pływał nigdy na parowcach, świadomie pozostając wierny żaglowcom) było u progu naszej pierwszej niepodległości grubym już anachronizmem. Tu właśnie, w wysuwaniu środowiska morską jako decydującego czynnika w kształtowaniu psychiki człowieka, znajdujemy źródło idealistycznych mitów o „niezmiennej”, „odwiecznej” psychice marynarzy. One też zatrzymały w dużej mierze rozwój pojęć o ludziach morza i procesach społecznych z morzem związanych, na poziomie conradowskich wyobrażeń o morzu jako irracjonalnej i tragicznej arenie zmagania jednostki z żywiołem morską i ślepy, fatalistycznym losem, lub też — przy mniej ambitnych próbach — na poziomie londyńskiej egzotyki „włóczęgów morskich”, w której krzepa „wilków morskich” zastępowała obraz walki klasowej wśród ludzi morza.

Jeśli dodamy do tego jeszcze techniczne opóźnienie w zagospodarowaniu morza, kilkunastowiekowi brak tradycji morskich i tym podobne czynniki, to dostrzeżemy łatwo przyczyny, które na terenie literackim sprzyjały sfalszowaniu i niedostrzeganiu procesów produkcji zachodzących na morzu. W rezultacie wszystko to podtrzymywało wiarę w szczególną odrębność i autonomiczność kultury morskiej, a tym samym i literatury o tematyce morskiej. Nic dziwnego, że nasze zaślubiny z morzem, dokonane w roku 1918 z autentycznym, ulafskim gestem, odbywały się w dziedzinie kulturalno-artystycznej w bardzo staromodnej i przykrótkiej sukni ślubnej. W sukurs tym poglądom przyszła wkrótce ówczesna nauka, przede wszystkim idealistycznie pojmowana socjo-

logia i etnografia, która morskie środowisko geograficzne uznawała za decydujący czynnik w rozwoju społecznym i kulturalnym. Niewątpliwie specyficzny charakter środowiska morskiego podnieziono w tych naukach do rzędu autonomicznej odrębności kulturalnej, tworząc pseudonaukową wersję o „światopoglądzie morskim” i zasadniczej, a rzekomej przeciwstawności „kultury morskiej” w stosunku do „kultury lądowej”. Przypieczętował ten fałszywy pogląd stemplem naukowym Instytut Bałtycki wydając na ten temat w roku 1934 zbiorową pracę kilku polskich uczonych pt. „Światopogląd morską”.

Przeniesienie momentów ideologicznych na grunt czynników geograficznych zrodziło szereg szczególnych sloganów obiegowych, w rodzaju wspomnianego już „światopoglądu morską”, lub hasła „naród w służbie morza” czy pojęcia „morskiej psychiki”.

Pojęcia te siłą inercji przeniknęły do okresu powojennego. Jeszcze np. w roku 1947 Liga Morska wydała broszurę, opracowaną przez kilku autorów pt. „W służbie morza”. Przyjrzyjmy się tylko dokładnie temu pojęciu, które w rozszerzonym składzie brzmi „naród w służbie morza”. Czym jest ta służba narodu” wobec ślepego żywiołu, jeżeli nie *wywyższeniem natury ponad człowieka*, degradowaniem jego roli na rzecz przyrody, fetysyzacją tej ostatniej, w rezultacie więc odbiciem jaskrawej, idealistycznej postawy wobec życia? To samo można powiedzieć o sławnym „światopoglądzie morską” czy sugestii o rzekomej „psychice morskiej”. Niebezpieczeństwem idealistycznego pojmowania życia na morzu znalazły jednak najbardziej jaskrawą i reakcyjną charakter w tendencjach kolonialnych, jakie pojawiły się w okresie międzywojennym. Zaczęły się one pojawiać najpierw w publicystyce morskiej, potem już w praktyce Ligi Morskiej, w roku 1928. Wtedy to bowiem, na katowickim zjeździe delegatów *Ligi Morskiej i Rzecznej uchwalono zmienić nazwę tej instytucji na Ligę Morską i Kolonialną*, a w roku 1930 wprowadzono te uchwały w życie. Nowa Liga zaczęła urządzać nie tylko symboliczne „dni kolonialne”, ale zajmować się praktycznym skierowywaniem liczących rzesz robotniczych i chłopskich do Parany, Kolumbii czy Liberii. Nie jest rzeczą przypadkiem, że narodził się „światopogląd morską” i przemiana Ligi na Morską i Kolonialną zbiegły się w czasie z coraz bardziej postępującym kryzysem gospodarczym i że emigracja kolonialna była tylko jedną z akcji, mających zamaskować słabość i niemoc ustroju, nie mogącego wyżyć „nadmiaru ludności” wiejskiej i robotniczej. Antydemokratyczny, imperialistyczny charakter tych tendencji nie wymaga bliższych objaśnień, mówi sam za siebie.

Wnioski z takiego ujęcia zagadnień morskich są jasne. Doceniając znaczenie sztuki o tematyce morskiej odrucamy jednak zdecydowanie mit o rzekomej autonomii i odrębności literatury morskiej jako pojęcia wyrosłego z idealistycznego pojmowania życia. W naszych nowych pojęciach o sztuce — socjalistycznej w treści, a narodowej w formie — nie mieści się nie tylko jakakolwiek odrębna literatura czy sztuka robotnicza lub chłopiska, ale również morską, górską czy lotniczą. Sprawa tych nazw, mających jak wszystkie *podziaty tematyczne*, jedynie użytkowe, praktyczne zastosowanie, jest zagadnieniem drugorzędnym, ubocznym. Służą jedynie do podkreślenia pewnych charakterystycznych zjawisk, o które nam w danej chwili chodzi. Dzieło sztuki o tematyce morskiej może być równie dobrze postępowe, jak i reakcyjne, podobnie jak każde inne dzieło o tematyce górniczej czy wiejskiej. Odrzucając zatem pogląd o autonomiczności tej literatury, możemy nadal zachować jej dawną nazwę, używając jej jednakże tylko w sensie użytkowym i praktycznym. Podobnie patrzmy dziś na zagadnienie tak zwanej „kultury morskiej”. Nie odmawiając bynajmniej różnorodnym zjawiskom zachodzącym na morzu charakteru specyficzności nie możemy jednak oceniać ich tylko z punktu widzenia środowiska geograficznego, bardzo zresztą ważnego, lecz nie decydującego.

Morze jest takim samym warsztatem pracy jak każdy inny i dlatego o życiu ludzi na nim pracujących decydują przede wszystkim zmiany w sposobie produkcji oraz świadomość polityczna ludzi z nim związanych, a nie tylko czynniki środowiskowe. Z tego właśnie względu odrzucamy również pojęcie rzekomego „światopoglądu morską”, jako nie opartego na faktach naukowych i wprowadzającego fałszywe, idealistyczne założenia. Również zdecydowanie przekreślamy wszelkie hasła kolonialne jako antydemokratyczne i służące tylko do zamaskowania ucisku człowieka przez człowieka. Natomiast takim pojęciem jak „naród w służbie morza” nadajemy właściwą, jedynie godną człowieka treść przez to, że podporządkowujemy „morze służbie narodu.”

\*

Jest rzeczą zrozumiałą, że na okres międzywojenny przypadło największe nasilenie zainteresowań zagadnieniami morskimi w naszej literaturze. Ale nie też dziwnego, że z wymienionych wyżej względów, morze oddalone od powszechnego odczuwania, ograniczone w użytkowaniu do szerepu garstki klas posiadających, przesłonięte ponadto irracjonalną mgiełką urastało do pewnej legendy, do źródła mistycznych cnót narodowych, krzepiących już przez samo zetknięcie się z nim. Nic też dziwnego, że zainteresowanie budziło przede wszystkim mo-

rze-egzotyka, morze-obraz, morze-żywioł, a nie morze jako warsztat pracy. Ten właśnie egzotyzm, kult żywiołu, oderwanie od realnych procesów społecznych były najistotniejszą dominantą ówczesnej literatury morskiej.

W takiej postaci pojawia się morze i jego ludzie w twórczości najzdolniejszych ówczesnych marynistów — Stanisława Salińskiego, J. B. Rychlińskiego, M. Żaruskiego, Janusza Stępowskiego, Jerzego Szareckiego czy Brunona Dzimi-cza, podobny charakter ma morskopodróżnicza literatura A. Fiedlera, Cz. Centkiewicza czy powieści i szkice takich autorów jak Wandy Karczewskiej, Jerzego Bandrowskiego, Juliusza Żuławskiego lub Zbigniewa Uniłowskiego.

Wśród przytoczonych pisarzy nie przez przypadek pada nazwisko Jerzego Bandrowskiego, miernego i mało utalentowanego, lecz bardzo płodnego autora takich powieści jak „Zołojka” czy „Sosenka z wydm.” Powieści te powtarzają w sposób typowy powszechne wówczas frazesy o morzu. Oto np. co pisze Bandrowski we wspomnianej powieści „Zołojce”, wydanej w roku 1936.

„Wiatr morski odświeży nas. Tu musimy wszystko z ducha tworzyć pozytywnie, bo tu nic nie ma. Tu zaczynamy wszystko od początku... Przeniesiemy tego ducha na ląd... To siła!”

Albo w innym miejscu tej powieści — „Świadczyliby to, że Tomasz odkrył nad tym morzem jakieś(!) nowe źródło energii życiowej i ideowej... Tu będzie jeden z najpiękniejszych rozdziałów naszej twórczości, bo tu znacznie się krystalizować nowa dusza polska, nowa droga dla polskiego geniusza.”

W tej powieści, której bohater włóczęgą się beczynnie nad morzem „odkrył” nagle „jakieś(!) nowe źródła energii życiowej i ideowej” nie zabrakło nawet frazesów o odkryciu „morza wewnętrzznego”... w duszy bohatera! „Morze wewnętrzne” w roku 1936 — to nie tylko indywidualna i nieodpowiedzialna frazeologia autora, to zbanalizowany odprysk sławnego „światopoglądu morską”, mającego geograficznymi złudzeniami zamaskować coraz bardziej fałszywą ideologię klas panujących.

Oczywiście powieści Bandrowskiego to literatura bez pokrycia artystycznego, niewiele różniąca się od sensoryjnych bzdurow morskich w rodzaju „Oblubienicy morskiej” M. Jarosławskiego czy Jima Pokera „Zemsty Mandragory” lub „Loreley”. Ale nawet u pisarzy o niewątpliwym odczuciu morza i pewnej klasie artystycznej jak u St. Salińskiego („Opowieści morskie”) czy u Wandy Karczewskiej („Ludzie spod żagli”) znajdujemy w rozcięzionej postaci ów irracjonalizm i tradycyjne spojrzenie na morze i jego ludzi oraz poszukiwanie egzotyki przy jednoczesnym niemal zupełnym oderwaniu od tła społecznego. Jedyną niemal w owym czasie próbą nowego spojrzenia na morze i przełamania tradycyjnych schematów o jego ludziach był „Pamiętnik morską” Zb. Uniłowskiego. Ale to spojrzenie na morze „à rebours”, o naturalistycznym i ograniczonym do jednostronnych, przeważnie obyczajowo — erotycznych spostrzeżeń, sprowadzało literaturę o morzu do równie niebezpiecznych załkłów mieszczkańskiej literatury. W rezultacie więc nasza literatura o morzu pozostała w tym okresie na pozycjach społecznie opóźnionych i mało odrywczych. Nie znaczy to oczywiście, aby nie posiadała — historycznie rzecz biorąc — pewnych osiągnięć pozytywnych. Należy do nich np. dość duża już, w porównaniu z okresem poprzedzającym pierwszą wojnę, techniczna znajomość spraw morza, czy też znaczne tematyczne rozszerzenie „kolorów morza” — od zagadnień polarnych, poprzez morza dalekiego Wschodu i Atlantyk aż po tematykę bałtycką i przybrzeżną.

\*

Okres powojenny przyniósł kilka nowych pozycji marynistycznych — „Saga o Jarlu Broniszu” Jana Wł. Grabskiego, „Dziękuję ci, kapitanie” Ark. Fiedlera, „Szczury morskie” Jana Papugi i „Kulawego bosmana” Jerzego B. Rychlińskiego\*).

Ideologicznie i artystycznie jednak należą te utwory do okresu międzywojennego, ze wszystkimi jego charakterystycznymi cechami widzenia morza. „Saga” np. pokazuje morze jako jeden z czynników politycznych, odgrywających dużą rolę w różnorodnych powiązaniach Polski z morskimi państwami Północy i przedstawia je jako realną arenę czynów morskich. Grabski jednak interpretuje historię Polski z idealistycznego punktu widzenia — decydującym czynnikiem historycznym są u niego nie określone siły społeczne, lecz dzieje wybitnych jednostek i proces walki między nimi. Wynika z tego przecenianie ich roli i przypisywanie im możliwości samowolnego kształtowania rzeczywistości. Artystycznie zaś jest Saga, jak się wyraził jeden z publicystów morskich, „morską Sienkiewiczjadą” z Arkoną lub Jomsborgiem zamiast Kudaku i Morza Bałtyckiego zamiast Siczy zaporoskiej.

\* Dla bibliograficznej ścisłości należy tu jeszcze wymienić cztery książki — „Wierny okręt” J. Bartosika, „Błyskawicę” J. Kowalskiego, „Krzysztofa Kolumba” T. Peipera oraz „Morze wcią” M. Zydlera. Dwie pierwsze — to redziej pamiętnikarskich wspomnień i opowiadań o przygodach marynarzy polskich podczas drugiej wojny, trzecia jest oryginałem, lecz jednostronnym esysem psychologicznym, bardzo luźno z morzem powiązany, o życiu genuńskiego odkrywcę Ameryki. Czwarta — to późniejsze, społecznie bardzo ograniczone i często banalne opowiadania na tematy morza.

U Fiedlera zaś panuje niepodzielnie conradowski spojrzenie na morze, z całym balastem irracjonalnego kultu dla statków i ich rzekomych „temperamentów”, „charakterów”, ambicji czyli tak zwanej „duszy statku”. Ludzie morza u Fiedlera — pokazani wprawdzie bardzo plastycznie i w dobrych skrótach, są jednak oderwani od tła społecznego, klasowo nieróżnicowani, ujęci jedynie od strony ich „witalnej” żywotności i psychologicznej egzotyki.

Ciekawą próbą mogłyby być opowiadania Papugi w „Szczurach morskich”, ale i on uległ przemiennej tradycji wyobrażeń o marynarzach jako „włóczęgach morskich”, a w wielkiej tragedii polskich marynarzy w okresie drugiej wojny światowej dostrzegł jedynie nietypową i mało charakterystyczną stronę anegdotyczną.

Również powieść Rychlińskiego o zagładzie floty polskiej w XVII wieku nie przekroczyła kręgu przeciętnej morskiej egzotyki historycznej i tradycyjnego obyczajowego, oderwana od wielkich realiów społecznych swej epoki i pomniejszona w prawdzie historycznej.

W rezultacie więc we wszystkich czterech wymienionych powieściach ucieczka w kraje historycznej czy współczesnej egzotyki morskiej oraz idealistyczne pozycje wyjściowe w ujęciu zagadnień są ostatnimi refleksami tych tendencji, które dominowały w okresie międzywojennym.

\*

Ołbrzymie przemiany gospodarcze i ideologiczne, jakie zaszły w ciągu kilku lat powojennych również na odcinku naszej morskiej rzeczywistości domagają się nie tylko rewizji pojęć w tej dziedzinie, ale i odpowiedniego, nowego wyrazu ideologicznego i artystycznego. Rozbudowa portów, stoczni, żeglugi przybrzeżnej i dalekomorskiej, powstanie nowych osiedli rybackich, połowów dalekomorskich, współzawodnictwo pracy na morzu, — cały ten różnorodny i bogaty warsztat pracy — odsłania przed pisarzami nowe źródło tematów, dotąd nie poruszanych przez pisarzy, pozwala dostrzec nowych ludzi, *współtworzących gospodarkę morską*, powstawanie na tle walki klas nowych form pracy i nowego typu życia.

Jednocześnie rozbudowuje się u nas, mało dostrzegana przez pisarzy, nowa nauka o morzu, która pomaga w pogłębieniu tematyki morskiej — Instytut Bałtycki, Morskie Laboratorium Rybackie, Morski Instytut Rybacki, katedra dziejów żeglugi na Uniwersytecie Poznańskim, Muzeum Morskie, Morski Instytut Techniczny, Architektura okrętów na Politechnice Gdańskiej, Morska Komisja Terminologiczna, Instytut Medycyny Morskiej i Tropikalnej, Morska Stacja Biologiczna, Wyższa Szkoła Handlu Morskiego itp. Ten naukowy aspekt zagadnień morskich, dawniej prawie nie zauważany lub bagatelizowany przez pisarzy, wymaga dzisiaj od pisarza, który pragnie rzetelnie opisać poznawane środowisko, przynajmniej orientowania się w zdobyciach tych nauk, rozumienia sensu i współzależności ich powiązań.

Zarówno wspomniana nauka o morzu jak i sieć szkolnictwa morskiego, nowego typu, nie mająca odpowiednika w dawnym ustroju, np. Państwowego Centrum Wychowania Morskiego, Szkoła Rybaków Dalekomorskich itp. — wrzeszczą głosy czasów nadmorskich dla szerokiej rzeszy pracowniczej upowszechniają po raz pierwszy w naszej historii znajomość morza w najszerszym, społecznym znaczeniu. Powoli pojęcia statku, portu, stoczni czy sieci rybackiej

zaczynają być dla nas równie swojskie i proste jak dotychczas były pojęcia pluga, koleji czy fabryki. Gospodarka morska nie jest już czymś, co kończy się na wąskim pasie przybrzeżnym, lecz powoli przenika, poprzez rozliczne powiązania gospodarcze, daleko włąb zaplecza lądowego. Czy proces tych przemian zaznacza się w nowy sposób w naszej literaturze? Czy literatura dotrzymała choć w części kroku rozmachowi tego życia i jego bogatej tematyce? Byłoby zbyt nienależnym uproszczeniem, gdybyśmy na to pytanie odpowiedzieli jedynie zaprzeczeniem i wytoczeniem ciężkich oskarżeń. Jak wynika z przytoczonych na początku rozważań, droga pisarza do tych zagadnień jest trudniejsza aniżeli na innym odcinku literatury. Toteż nawet nieliczne i rozproszone, po czasopismach wiersze E. Fiszefera, Tym. Karpowicza czy Fr. Fenikowskiego lub ambitne, choć jeszcze nie udane próby W. Wirpszy (poemat „Stocznia”), przede wszystkim zaś wiersze Andrzeja Brauna („Noc narodzin”), zasługują na uwagę. Wiersze to bowiem *sygnalizują zmianę w odczuciu morza i jego ludzi*, wysuwając na miejsce dawnych, pławowych, estetyzujących i oderwanych od tła społecznego liryk — poezję pracy nowych ludzi morza — rybaków, kraniów, trymerów, stocznicowców i morza jako wielkiego warsztatu pracy.

Oczywiście, są to jeszcze próby nieśmiałe i początki wniknięcia w procesy budowy naszego przymorskiego, a nie ściśle morskiego życia. Tematyka morska czeka więc dopiero na swych pisarzy, którzy by pokazali całe piękno i wielkość romantyki morza, opartej na nowych, socjalistycznych elementach.

Łutowa konferencja pisarzy, poświęcona zagadnieniu zbliżenia pisarzy do najbardziej unerwionych i brzemiennych w nowe procesy społeczne odcinków życia, napawa nadzieją, że i w tej dziedzinie nastąpią wkrótce zmiany. Czy spełnią je jednak dorywcze rejsy przybrzeżne czy krótkotrwałe studia terenowe? Zachodzi obawa, że ze względu na specyficzność wspomnianej tu tematyki, środki te, aczkolwiek bardzo pożyteczne, mogą jednak zawieść lub okazać się bardzo połowiczne. Dlatego też warto tu wskazać na pewne sposoby rozwiązania tego zagadnienia. W Związku Radzieckim, kraju 13 mórz i dwu oceanów, odczytnie takich pisarzy morza jak Gonczarow, Staniukowicz, Nowikow-Prjobj, a ostatnio Sobolew, Gorbatow czy J. Krymow, istnieje w ramach Związku Literatów specjalna sekcja czy stowarzyszenie *pisarzy pod nazwą „Lokaf”* (dosłownie *Plotsko-Literaturnoje Obszczestwo — Lokaf*), a jednym z jego organizatorów jest autor „Duszy morskiej” Sobolew. „Lokaf” nie ma oczywiście na celu wyodrębnienia literatury o morzu od ogólnonarodowego piśarstwa, lecz jak najszerzej pojętą pomoc techniczno-organizacyjną dla pisarzy, interesujących się problematyką morską. Tego rodzaju pomoc ułatwia pisarzowi dotarcie do najbardziej interesujących ośrodków morskich, współdziałanie z wybitnymi ludźmi morza w ich pracy i studiowanie terenu „na żywo”, w codziennych trudach i pracach danego ośrodka morskiego. O tych doświadczeniach radzieckich, oznaczające silną, dużą falę, która napływa po kilku małych falach. Nazywa się ona „dziewiątą falą”. Na taką „dziewiątą falę” literatury o morzu czeka tysiące ludzi, współtworzących dzisiaj naszą gospodarkę morską.

Stanisław Telega

CZYTELNIK NOWOŚCI CZYTELNIK  
KLUB ODRODZENIA  
Rudnicki A.  
„PAŁECZKA”  
str. 87 zł 180  
Pawlenko P.  
„STEPÓWE SŁOŃCE”  
str. 90 zł 130

TADEUSZ BOROWSKI  
OPOWIADANIA  
Z KSIĄŻEK  
I GAZET  
str. 151 zł 240  
PAŃSTWOWY  
INSTYTUT  
WYDAWNICZY

WKRÓTCE  
UKAŻĄ SIĘ  
KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY  
Zitkow B.  
CO WIDZIAŁEM  
str. 219 zł 380  
Iljin M.  
OPOWIADANIA O PRZEDMIOTACH  
str. 422 zł 400  
Czaplina W.  
CZWO OROŹNI PRZYJACIELE  
str. 221 zł 3 0  
„CZYTELNIK”

WKRÓTCE  
UKAŻĄ SIĘ  
Różewicz T.  
PIĘĆ POEMATÓW  
str. 67 zł 200  
Lorca F. G.  
WYBÓR WIERSZY  
str. 81 zł 220  
Biblioteka Szpilek  
Hasek J.  
KRONIKA ŚNIECHU  
str. 166 zł 180  
„CZYTELNIK”

# W ŚRÓD KSIĄŻEK

## Niewykorzystany temat

Książka Olchy „Most nad urwiskiem” — to powieść na tematy wczoraj i dziś aktualne na wsi polskiej. Jej temat i jej dydaktyczny charakter wymownie precyzują słowa końcowe jednego z bohaterów powieści (str. 218, tom II): „Myślę o moście nad urwiskiem w znaczeniu moralnym i społecznym. O takim, jaki zbudowała dla siebie Agnieszka decydując się na podjęcie walki o (...) wyrażone kształtowanie siebie samej (...). Ona jest dziś innym człowiekiem. (...) Jest wartościową jednostką potrzebną ludziom (...), pozytywną dla wsi, dla społeczeństwa. Zbuduje sobie taki most (...) Zmień się (...). Weź udział w budowaniu wielkiego, żywego mostu nad urwiskiem biedy, zacofania, ciemnoty; mostu ku innemu, pięknemu, w życie nowe, urządzone w każdym roku mądrzej i sprawliwiej”.

Akcja powieści toczy się na wsi podhalańskiej, przed Kongresem Zjednoczeniowym partii robotniczych. Jest to akcja złożona z dwóch wątków: romansego i politycznego. Oba reprezentują w powieści problemy przemiany etyczno-społecznej, problemy wychowania nowego człowieka. Schemat akcji i problematyki jest naprawdę interesujący, zagadnienia i sytuacje prawdziwe i z życia wzięte. Niestety autorowi nie udało się tego schematu należycie rozbudować. Tematem akcji politycznej jest założenie na wsi sklepu spółdzielczego, organizowanie pomocy sąsiedzkiej, ośrodka masyńskiego i działalności kół młodzieżowej wsielskiej i gospodyń wiejskich — pod kierunkiem i inspiracją działacza z Polskiej Partii Robotniczej, nauczyciela Walegi. Dokoła tych poczynań krystalizuje się na wsi walka klas, powoli dochodzi do uświadomienia sobie przez młodszych, że mogą i muszą stanąć do walki z uświęconą przez tradycję hegemonią bogaczy. Jednocześnie autor demaskuje nową taktykę obroną przez kapitalistów wiejskich: przenikanie w szeregi partii rządzącej i opanowywanie placówek ekonomicznych — słowem wykołanie najlepszych poczynań władzy ludowej. Machinacje wiejskiego biznesmena Tomka Zadry, dzieje rozłamu w średniozamożnej rodzinie Radoniów, gdzie stare pokolenie idzie pod komendę bogaczy, a młodsze łączy się ze sprawą społeczeństwa i sprawiedliwości, historia emancypacji młodych i bezrolnych rodzin Barwicka i Jasny — to właśnie ilustracja wyżej wyłożonych prawd o procesach dzisiejszej rzeczywistości polskiej. Niestety autor nie potrafił prawd tych pokazać w sposób artystyczny: nie po-

trafił poprzez otwarte wydarzenia przekonać czytelnika o słuszności głoszonego tezu. — Po prostu czapka ideologii nakrył rzeczywistość. Oczywiście, nie na tym polega praca pisarska. Na czym ta praca polega — przekonaliśmy się przy lekturze książek Lucjana Rudnickiego, Izzydora Koszykowskiego, Władysława Kowalskiego, lub choćby Józefa Pogana. Tam konkretny materiał obserwacji życia ma swoją wymowę ideologiczną, podpowiada wnioski i poglądy. U Olchy natomiast ten materiał nie ma wymowy, światła, pulsująca życiem tematyka pozostała niewykorzystana.

Weźmy na przykład bardzo żywą i prawdziwą sytuację, którą stanowi konflikt Agnieszki Grębałówny, bohaterki „wątku romansego”. Agnieszka jest porzucona przez kochanką matkę, której dziecko przywłaszczyło sobie bezdzielne małżeństwo hitlerowskie. Dramat ten rozegrał się podczas ostatniej wojny w Niemczech, dokąd Agnieszka i jej ukochany zostali wywiezieni na roboty przymusowe. Po wojnie Agnieszka, opuszczona przez Szymka, rozbita moralnie — rezygnuje chwilowo z odzyskania dziecka i wybiera najłatwiejszą drogę — wraca do Polski „bez kłopotu”, by zacząć „nowe życie”. Jej małcowi przecie — usprawiedliwia się przed sobą — nie brakuje u przybranych rodziców. Pod wpływem otoczenia: proletariatu wiejskiej — swojej matki — oraz młodych działaczy społecznych i partyjnych — Agnieszka uświadamia sobie, że na drodze awansu społecznego w Polsce Ludowej może wstąpić tylko jako jednostka czysta moralnie, tylko jako matka, która spełniła swój obowiązek. Wraca więc do Niemiec i po tragicznej walce odzyskuje swego synka, z którym wraca do wsi rodzinnej.

Sytuacja bardzo interesująca, doskonały materiał dla pisarza. Niestety już z tego streszczenia widać, że łatwo uczynić z niej mało przekonującą bajkę filantropijną moralistki, i tak niestety wygląda rzecz u Olchy.

Równoległe z powyższą akcją toczy się w opowieści wątek walki o sklep spółdzielczy i nową sprawiedliwą gospodarkę na wsi. Akcja jest zajmująca, chwilami sensacyjna (w wątku politycznym: niesłuszne oskarżenie, rucone na sekretarza partii, uwielenie go i zachwianie jego pracy), sytuacje autentyczne, a problematyka ważna. Tej dobrej koncepcji brak jednak „ciała i krwi”. Obraz procesów pracy, tak istotnych dla życia wsi, nie przyciągnął uwagi autora i wymknął się gdzieś z powieści. Proces przemian psychicznych ukazany jest naiwnie, gołębnie, miejscami sztucznie, bez wewnętrznego uzasadnienia. Dlatego sympatyczny optymizm autora w poglądzie na

ludzi i na budowanie sobie losu przez człowieka jest zbyt łatwy. Najważniejsze, przełomowe decyzje bohaterów wyskakuja przed czytelnikiem jak deus ex machina. Np. zmiana Plichty z wodzonego za nos człowieka o słabym umyśle i słabym charakterze — na zdecydowanego bojownika sprawy biedoty wiejskiej. Lub decyzja Agnieszki, szukającej dobrej rodziny i ożenku poza swoją wsią — że pójdzie odnaleźć swoje dziecko do Niemiec Zachodnich, przez zieloną granicę.

Język tych postaci jest również sztuczny, rażą wniknięcie w gwargotwe sformułowania teoretyczne (charakterystycznym przykładem jest przytoczony na wstępie recenzji monolog Józka Radonia, wypowiedziany w końcowej rozmowie bohaterów książki).

Wstępne „partie pejzażowe” rozdziałów, pisane „od autora”, utrzymane są w stylu przebrzmiałej młodopolskiej kwiaciści: „Radliły śródpolną ciszę pojękliwe nuty pastuszkiej pieśni” (str. 5), „Urzekliwie roziskrza się polna jaśnieja” (str. 48).

Od strony koncepcji ideologicznej można by kwestionować nadmierną rolę, przypisaną jednostce — nauczycielowi wiejskiemu, od którego — zbyt dużej mierze uzależniona jest w powieści cała inicjatywa partii. Autor zbyt wiele opowiada o jego zaletach „własnymi słowami”, a za mało pokazuje go w konkretnej robocie. Dalej można by zarzucić, że pomoc ideowa (dobrze pomyślana sytuacja), jaką okazuje opuszczony przez Wałęgę wsi peperiowski robotnik Sarnek, i ingerencja Grochowiczowej z ramienia partii — wywierają wrażenie nieco chaotycznych „wypadków” — zamiast świadczących o nieustającej, konsekwentnej sile żywej partii. Byłyby to już jednak raczej zarzuty mniej ważne, gdyż zasadnicze postawienie problemu przez autora jest w tych wypadkach słuszne. Ukazuje trafnie proces rozwoju świadomości i czynnej aktywności dojrzewającego do swej roli w walce proletariatu wiejskiego. Nie koncepcja więc, lecz jej wcielenie przez autora jest mało przekonujące.

Reasumując powiedzieć trzeba, że książka stanowi mimo wszystkich swych poważnych błędów pozycję pozytywną, pozytywną ze względu na podjęcie ważnej, żywej problematyki — choć piękny zamiar autora udaremniła nieudolność wykonania. Nie jest to sprawa mało ważna, chodzi bowiem przecież nie o intencje, lecz o rezultat; o poczytność i oddziaływanie książki na masowego czytelnika, na czym niewątpliwie zależało autorowi, pisarzowi mającemu już swą kartę w dziejach walki o nowe oblicze polskiej wsi, z walką tą związanemu nie od dzisiaj i świadomemu jej celów.

Janina Preger

\* Antoni Olcha. *Most nad urwiskiem*. Warszawa 1949, Wydawnictwo Ludowe, t. I, str. 239 i 1 nlb., t. II, str. 218 i 2 nlb.

## Powieść o francuskim Ruchu Oporu

Przy omawianiu „Milczących masztów” Laffite’a mimowolnie nasuwa się porównanie z „Dziwną zabawą” Rogera Vaillanda, która wzbudziła wśród naszych krytyków żywe zainteresowanie i dyskusję.

W powieści swego Vaillanda przedstawił bardzo swoisty wycinek Ruchu Oporu, pokazany przez pryzmat przeżyć osobistego narratora. Subiektywistycznej treści towarzyszyła wyrafinowana forma, wykorzystująca bogaty arsenał chwytów literatury mieszczańskiej. Książka zaciękała i niepokoiła — w minimalnym jednak stopniu wzbogacała naszą wiedzę o francuskim Ruchu Oporu, jego obliczu polityczno-społecznym, jego podstawach i perspektywach. Była to jeszcze jedna, przeprowadzona na marginesie problematyki okupacyjnej — powieść inteligenta, obarczonego całym balastem kompleksów, narowów i wręcz nęlowów.

Na tym tle z całą wyrazistością występują cechy powieści Laffite’a, autora pochodzenia robotniczego, który do literatury wszedł swymi wspomnieniami z obózów koncentracyjnych pt. „Życie jest walka”. „Milczące maszty”, książka bezpretensjonalna, o dużo uboższym zasobie środków ekspresji, przemawia do nas zawartą w niej obiektywną treścią społeczną, przekazaną z wielką prostotą i bezpośredniością.

Tematem powieści jest zamach, dokonany przez grupę wolnych strzelców i partyzantów na stację nadawczą niemieckiej marynarki wojennej w Sainte Assise. Autor opisując środowisko bojowników-komunistów zarysowuje mocno linię podziału, przebiegająca między Francuzami w czasie okupacji, charakteryzuje stanowisko lewicy i prawicy, przeciwstawia bierną postawę doskonałe uzbrojonej sieci gaullistowskiej bezkompromisowej walce komunistów, którzy z trudem zdobywają najelementarniejszy ekwipunek bojowy. W końcowej części powieści Laffite nakreśla układ sił we Francji powojennej, gdzie najofiarniejsi obrońcy niepodległości stają się przedmiotem podejrzeń, oskarżeń i szykan. Walka, choć w zmienionej postaci, toczy się nadal — aż do zwycięstwa. Wiara w to zwycięstwo tchnie książka Laffite’a, nawet w najtragiczniejszych partiach pełna zdrowego optymizmu. Bohaterowie jego wiedzą, że ofiary ich przywróceni mają światu młodość i wiosnę. Końcowy obraz książki — dziecko wśród kwiatów na dawnym polu bitwy, stercząca w jakiś bardzo naturalny, a zarazem wruszający sposób sens sprawy, za którą giną ojcowie.

Książka Laffite’a, nacechowana maksymalną prostotą i obiektywizmem narracji, przeciwstawia się tak żywym we Francji tradycjom psychologicznym. Autor bardzo oszczędnie informuje o życiu wewnętrznym bohaterów, prawdę psychologiczną wydobywając poprzez ich

czynny. Zwięzła charakterystyka sytuacji i postaci łączy się z wybitną przewagą dialogu, który stanowi tu jeden z podstawowych elementów konstrukcji. Kto wie, czy nie należałoby tu szukać pewnego, świadomego lub mimowolnego, ulegania wpływowi kinematografii: powieść Laffite’a wywiera w dużej mierze wrażenie noweli filmowej, a miejscami wręcz gotowego scenariusza. Akcja zyskuje dzięki temu na żywości i bezpośredniości, siłą strona są natomiast uproszczenia i jak gdyby szkieletowość całego, słusznie i przekonująco uchwyconego obrazu. Z dużą subtelnością ukazane są ludzkie sprawy miłości i przyjaźni, która wiąże towarzyszy broni.

Elmar Grin — to pseudonim literacki pisarza radzieckiego, którego imię i nazwisko brzmi: Aleksander Jakimow. Ten po szwedzku czy też po fińsku brzmiący pseudonim nie jest przypadkowy: Jakimow urodził się i dzieciństwo spędził w Karelii, wśród ludności fińskiej, jako syn ubożego szewca i wyrobicy pracującego na ziemi obszarnika. Życiowe koleje Jakimowa były zmienione i dość burzliwe: w młodości przez szereg lat pracował jako robotnik rolny u bogatego kula w różnych okolicach Rosji. Później był marynarzem floty bałtyckiej, radiotelegrafistą w państwowych przedsiębiorstwach leśnych pod Leningradem. W okresie wojny Jakimow-Grin służył w wojskach łączności a w końcu pełnił funkcje korespondenta wojennego przy sztabie jednej z armii.

Działalność literacką rozpoczął Jakimow stosunkowo późno. Jego pierwsze opowiadania drukowane były w r. 1937, zaś powieść pt. „Wiatr z Południa” wydana została w r. 1946. Odznaczony ją nagrodą stalinowską pierwszego stopnia.

Przeżył i doświadczenia Jakimowa-Grina z okresu najemnej pracy na cudzej roli oraz wspomnienia z lat dziecinnych, spędzonych w Karelii, określają tematykę i sens powieści „Wiatr z Południa”. Akcja tej powieści toczy się w Finlandii, w latach 1939 — 1945, obejmującą aż dwie wojny, prowadzone przez ten kraj ze Związkiem Radzieckim. Centralne postacie powieściowe — to robotnik rolny Einari Pikimajki, jego młodszy brat, Wilcho oraz bogaty kulak, chlebobawca Einara — Kurkimajki.

Zonaty i dzielny Einari jest człowiekiem bardzo pracowitym, statecznym i uczciwym, lecz myślą z trudem sięga dalej, niż poza koniec swego nosa. Jego świadomość, otepiała w warunkach nieludzkiej harówki, niezdolna do chwytania przyczynowych wątków spraw i zjawisk otaczającej rzeczywistości, zatruta jest ponadto propagandą reakcyjną, z istoty swej antyludową i — antyradziecką.

Wilcho natomiast jest młodzieńcem o bystrym wzroku, szerokich horyzontach umysłowych i wyostrowanym poczuciu społecznym. Wilcho nie tylko widzi wszystkie

Tłumaczenie Hanny Ołędzkiej trafnie oddaje lapidarny styl autora. Pewne zastrzeżenia budzi polski tytuł, którego wydzźwięk zupełnie odbiega od francuskiego. „Milczące maszty” kojarzą się z czymś groźnym i ponurym, sprzecznym z pogodnymi słowami: „Pójdziemy rwać żonkile”. Jest to o tyle istotne, że tytuł odpowiada charakterowi i sensowi powieści.

Książka Laffite’a jest dla nas podrobnym zarysem z tej Francji, która nie kapitulowała przed hitleryzmem, a dziś kontynuuje walkę o pełne wyzwolenie polityczne i społeczne swego kraju. Francji ludu pracującego.

Anna Jakubiszyn

krzywdy i upośledzenie swego brata Einari i wielu tysięcy jemu podobnych, lecz również zdaje sobie sprawę z przyczyn i źródeł faktu, że Einari po dwudziestu latach pracy od świtu do nocy na cudzej ziemi „dorobił się” nędznej chaty i czterech grządek kamienistego gruntu, podczas gdy „kulak” Kurkimajki, właściciel paruset hektarów ziemi, tuczy się krwawym potem swoich najemników, a i podczas wojny potrafił się nadal bogacić, robiąc na niej i dzięki niej doskonałe interesy.

Wydarzenia polityczne i militarne, których widownią stała się Finlandia w latach 1939 — 1945, uczą rozumu Einari i przyspieszają ewolucję poglądów Wilcha, tym bardziej, że obaj musieli wziąć udział w działaniach wojennych i zetknąć się bezpośrednio ze znanymi im przez reakcję fińską Rosjanami. Wilcho staje się świadomym i zdecydowanym komunistą; Einari — zrozumiałwszy wreszcie, czym jest i czym mogłoby być jego życie — wypowiada posuszeństwo kulakowskiemu wyzyskaczowi i poczyna żyć nadzieją wielkiej przemiany. „Moja praca stworzyła te ziemie — rozmyśla, patrząc na uprawne pola Kurkimajki — i wiem, że nadszedł czas mojej wypłaty. Otrzymam swoje, chociaż nie będzie nikogo o to prosził. Czuję, że teraz starczy mi na to siły”.

Sympatyzujemy głęboko z zarysem Einari i życzymy mu gorąco, by swe pragnienia i nadzieje przeobraził w rzeczywistość. Jednakże powojenna historia Finlandii, a zwłaszcza ostatnie lata tej historii wskazują, że „dzień wypłaty” dla Einari i wielu podobnych mu ludzi pracy musi być dopiero zdobyty w ciężkiej walce, skoro do dziś o losach tego kraju decydują właśnie tacy, jak wyzyskacz i bogacz Kurkimajki.

Ta publicystyczna dygresja sprawozdawcy nie może — rzecz jasna — obniżyć ideowych i artystycznych wartości „Wiatru z Południa”, które zostały ocenione sprawiedliwie przez jury nagrody stalinowskiej. Doskonale znajomości realiów fabularnych, bardzo obrazowo uwydatnienie przeciwnostw socjalnych, będących przedłożem i motorem akcji, oraz dialektyczny sposób ujęcia przemian światopoglądowych obydwu braci — Einari i Wilcha — oto zasadnicze zalety powieści Grina, o których wspomnieć należy. Polski przekład — poprawny.

Bolesław Dudziński

\* Elmar Grin. *Wiatr z Południa*. Przekład Halina Kowalska. Okładkę projektował Tadeusz Tuszewski. — Warszawa, Wydawnictwo Ludowe, 1949. — Str. 191 i 1 nlb.

\* Jean Laffite. „Milczące maszty”. Przekład z franc. Hanny Ołędzkiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1948 r.

# Pamięci Karola Szymanowskiego

Dnia 29 marca minęła trzynasta rocznica zgonu Karola Szymanowskiego, największego współczesnego kompozytora polskiego. Kompozytora, którego wielkość i przełomowe znaczenie dla muzyki polskiej widzimy tym jaśniej, im większy dystans lat dzieli nas od jego śmierci.

Wielkość ta nie polega wyłącznie na sile jego talentu, którą odczuwaliśmy — przynajmniej wielu z nas — jeszcze za życia twórcy, słuchając pierwszych wykonań „Harnasiów”, „Stabat Mater”, czy Czwartej Symfonii. Jeśli Karłowicz z zatechłej, zasłanianej atmosfery drugiej połowy XIX wieku potrafił muzykę a zwłaszcza symfoniczną podnieść na nowoczesny poziom, to Szymanowski umiał pójść dalej. Umiał przeniknąć i zrozumieć ideały artystyczne, o które walczył Fryderyk Chopin, potrafił w ostatniej, najpełniejszej fazie swej twórczości sięgnąć do źródeł muzyki ludu polskiego, pojąć jej głęboko ludzką treść, jej szczerze, bezpośrednio ciepło i liryzm, nadać jej piętno trwałych, nieprzemijających wartości artystycznych — stał się pierwszym od czasu Chopina prawdziwie wielkim twórcą narodowym.

Droga, którą Szymanowski doszedł do tego, co właśnie stało się przełomem, była długa i trudna, nie wolna od wahań, zatrzymań i upadków. Skomplikowana epoka, w której żył — epoka prądów rewolucyjnych i wstecznych, wartości trwałych i pozornych — wycisnęła piętno na jego twórczości.

Okres młodzieńczy, okres Preludów, pierwszych Etiud, Pieśni i Wariacji fortepianowych, znanomuje od razu silną i samodzielną osobowość twórczą. Nawiązanie do Chopina wyraźne — choć jeszcze zewnętrzne. Pewne wpływy obecne, zwłaszcza Skriabina, całkowicie zrozumiałe u tak młodego kompozytora. Rzym, którym Szymanowski wówczas operuje, to jeszcze język poprzedniej, poromantycznej epoki, jednakże świeżość, bogactwo inwencji i szlachetny liryzm pozwalają nam dziś słuchać tych utworów z prawdziwą przyjemnością.

Gdy około roku 1905 budzą się w Szymanowskim zainteresowania symfoniczne, wzrok jego zwraca się ku ówczesnej muzyce niemieckiej, w której zarówno Karłowicz, jak i cała „Młoda Polska” (Różycki, Fitelberg, Szelutło i sam Szymanowski) dopatrywała się synonimu muzycznego postępu. Mistrzami młodego kompozytora stają się Ryszard Strauss, nieco później Max Reger. Powstaje Uwertura Koncertowa (1906) zbliziona w charakterze do wielkiego poematu symfonicznego. Tematyka, harmonia, instrumentacja bardziej bodaj straussowskie niż w którymkolwiek utworze Karłowicza. Powstaje II Sonata fortepianowa i II Symfonia (1910), dzieło o monumentalnej i bardzo oryginalnej strukturze, pierwszy wielki sukces Szymanowskiego. W utworach tego okresu podziwiamy mistrzostwo techniki kompozytorskiej, jednakże indywidualność twórcza zostaje na powiem — krótki na szczęście — czas jakby przygluszone. Do prawdziwie własnego, dojrzałego języka muzycznego droga jest wciąż jeszcze daleka.

W początkach pierwszej wojny światowej zaczyna się Szymanowski interesować nowymi zdobyczami francuskich impresjonistów. Napisany w 1916 roku I Koncert skrzypcowy nosi wyraźne piętno tych zainteresowań. Jednakże dzieło to, pełne czarujących barw, subtelnego nastroju i dźwiękowego piękna, nie straciło do dziś nic ze swej świeżości.

Wszedłszy raz na drogę poszukiwań stylistycznych rozpoczął teraz Szymanowski kilkuletni okres nieustannego eksperymentowania. Gamy egzotyczne, orientalizm, harmonia atonalna, politonalna — trudno wylizycić środki, które przetrawiał zagłębiony w problem nowoczesnego rzemiosła kompozytorskiego. Jakkolwiek wielki talent kompozytora i w tym okresie potrafił wydawać dzieła o trwałej wartości, jak tragedia Symfonia, I kwartet smyczkowy, popularne „Źródło Aretuzji” z „Mitów”, liczne fragmenty opery „Król Roger” (choćby przepiękną „Pieśń Roxany”) — to trzeba stwierdzić, że wiele utworów takich jak „Maski” czy „Metopij” razi dziś zbytym przeludowaniem faktury, suchym eksperymentalizmem, sztucznością, odejściem od bezpośredniego piękna brzmieniowego. Z tego to zapewne okresu pochodził pokutujący jeszcze do chwili obecnej tu i ówdzie opinia o Szymanowskim jako o kompozytorze pragnącym zośliwić „szokować” wystraszonego słuchacza. Rzemiosło zostało zdobyte w stopniu granicznym z wirtuozerią i... przestało go w końcu interesować; twórczość jego weszła w stadium kryzysu.

Przełom nastąpił wkrótce po wojnie. Zożyły się nań dwa czynniki: zaznajomienie się z muzyką górali podhalańskich i — Chopina. W latach 1906-1919 Szymanowski oddał się do Chopina całkowicie. Tkwił w nim uraz z czasów młodości, kiedy kontynuowanie tradycji Chopina wyrażało się w Polsce jedynie naśladowaniem niektórych elementów jego stylu. Oczywiście Szymanowski nie mógł w tym widzieć drogi rozwoju. Teraz, pod wpływem pierwotnej, urzekającej siły folkloru górali, odkrył widzi dla siebie muzyki nowy cel artystyczny: wyrażenie oryginalnych, samorodnych cech kultury narodu — cel jakże wspólny z założeniami Chopina! Szymanowski rozumie teraz, że tak rozumiane kontynuowanie tradycji chopinowskiej nie tylko nie zamyka muzyce polskiej dróg rozwoju i nie musi ją do posługiwania się przebrzmiałymi już środkami kompozytorskimi i ale przeciwnie — otwiera przed nią nowe perspektywy i umożliwila jej zdobycie własnego, odrębnego miejsca w muzyce europejskiej.

Ta wewnętrzna przemiana wpływa decydująco na charakter dalszej twórczości Szymanowskiego. Rozpoczyna się teraz okres dojrzały, pełny, samodzielny. Powstaje długi szereg monumentalnych dzieł, powstają Mazurki przesiąknięte duchem polskiego folkloru, natchnione w swym skupieniu „Stabat Mater”, przepięzne „Harnasie”, II kwartet smyczkowy, Czwarta

ta Symfonia, będąca właściwie koncertem fortepianowym — odrębnym, a jakże idealnym bliskim koncertom Chopina — powstaje II koncert skrzypcowy i wiele innych. Obok zespolenia elementów ludowych z bogactwem własnej inwencji pełnej rozmachu i szerokiego oddechu — widzimy w nich dążność do coraz większej prostoty stylu i przejrzystości faktury. O ile „Harnasie” — szczerze, zrozumiale, liryczne — wykazują jeszcze jakby barokowe przeludowanie struktury dźwiękowej, to trudno sobie wyobrazić coś prostszego niż lekkie, wyraźnie zarysowany temat główny IV Symfonii, jej liryczna część środkowa czy pełen tancencko, oberkowego rytmu finału. Mozartowską niemal przejrzystością odznacza się ostatnie dzieło: II koncert skrzypcowy. Przedwczesna śmierć przecięła kompozytorowi drogę do ostatecznego osiągnięcia całkowitej komunikatywności dzieła sztuki bez rezygnowania z najmniejszych bodaj części najwyższych wartości artystycznych.

Da uczczenia pamięci wielkiego kompozytora odbyły się w Warszawie dwa koncerty poświęcone jego twórczości.

Dn. 28 ub. m. w sali „Ogniska” odbył się zorganizowany przez „Artos” koncert kameralny, z udziałem czołowych artystów stolicy. Świetna skrzypczak *Irena Dubińska* przy niezawodnym akompaniowaniu prof. *Jerzego Lefeldta* wykonała sonatę skrzypcową d-moll (op. 9) z młodzieńczego okresu twórczości Szymanowskiego, następnie zaś Romans (op. 23), popularny Nokturn i Tarantellę (op. 28) oraz przepiękną transkrypcję skrzypcową Pawła Kochańskiego *Pieśni Kurpiowskiej i tańca z „Harnasiów”*. *Maria Droniakówna* — jedna z czołowych śpiewaczek młodego pokolenia — wykonała szereg pieśni Szymanowskiego, m. in. niektóre z „Pieśni Hafisa”, Kurpiowskich i „Rymów dziecięcych”. Prelekcję wstępną wygłosił *Tadeusz Marek*.

Twórczości Karola Szymanowskiego poświęcony był również piątkowy koncert Państwowej Filharmonii (dn. 31 marca i jego powtórzenie — niedzielny poranek dn. 2 kwietnia b. r.). Program koncertu stanowił doskonały przegląd etapów stylistycznych, o których była mowa.

Po młodzieńczej Uwerturze koncertowej usłyszeliśmy 3 pieśni z towarzyszeniem orkiestry z cyklu „Pieśni miłosne Hafisa”. Cykl ten powstał w r. 1911 pod wpływem zainteresowań kompozytora tematyką orientalną, w szczególności zaś lirycznymi utworami poety perskiego z XIV wieku Mahomeda Hafisa. Zainteresowanie te trwały szereg lat i widoczne są w najwbitniejszych dziełach tego okresu, jak III Symfonia i „Król Roger”. W „Pieśniach Hafisa” (zwłaszcza w ich wersji orkiestrowej z 1914 r.) widać wyraźnie zwrot w kierunku impresjonizmu. Zwrot ten zaznacza się jeszcze silniej w cyklu „Pieśni księżniczki z baśni” napisanych w r. 1915, z których 3 usłyszeliśmy na omawianym koncercie.

Wykonawczynią pieśni była *Ewa Bandrowska-Turska*, świetna interpretatorka dzieł wokalnych Szymanowskiego.

Na zakończenie wykonano IV Symfonię, jedno z najwspanialszych i najdojrzalszych dzieł z „narodowego” okresu twórczości Szymanowskiego. Wykonawcą partii fortepianowej był *Tadeusz Zmudziński*, jeden z laureatów ostatniego Konkursu Chopinowskiego.

Orkiestrą dyryżował *Mieczysław Miernowski*, jak zawsze z niezawodną precyzją.

Wawrzyniec Żuławski

- KSIAŻKI NADEŚLANE**
- Karolina Svetla — Dzwoneczkowa królewna. Przekład Zdzisława Hercowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 218.
- Georges Poltzer — Wykład filozofii. Przekład Jerzego Adamskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 216.
- Zuzanna Wantoch — Nam Lu: Miasto zawłoczonej drogi. Przekład Juliana Popławskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy.
- Mark Twain — Bajeczki dla starych dzieci. Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa, 1939 r., str. 248.
- W. M. Thackeray — Pierścień i róża. Spolszczyła Zofia Rogozowska. Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 186.
- Adolf Rudnicki — Palestra. „Czytelnik”. Warszawa, 1950 r., str. 87.
- M. Hija — Sto tysięcy dłażego. Przekład z rosyjskiego Zofia Warszawa. „Czytelnik”. 1949 r., str. 112.
- M. Hija — Która godzina. Przekład z rosyjskiego Helena Jarmolofska. „Czytelnik”. 1949 r., str. 104.
- M. Hija — Słońce na stole. Przekład z rosyjskiego J. Dąrkowska. „Czytelnik”. 1939 r., str. 67.
- K. Gałczyński. — Ślubne obrączki. „Czytelnik”. 1949 r., str. 101.
- Muchtar Auezow — Syn Kazachstanu. Tłumaczył z rosyjskiego Stefan Pogorzelski. Wiersze przełożył Jerzy Litwiniuk. „Czytelnik”. 1939 r., str. 412.
- N. Nessel — Wesoła rodzinka. Tłumaczyła z rosyjskiego Halina Rogalowa. „Czytelnik”. 1949 r., str. 98.
- Julian Tuwim — Cuda i dziwy. „Czytelnik”. 1949 r., str. 27.
- Jan Brda — Milczenie barykada. Przekład Stefana Dębskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949 r., str. 138.
- Igor Adrelew i Dr. Jerzy Sawicki — Istota przestępstwa w Polsce Ludowej. Wydawnictwo Międzynarodowe Sprawiedliwości. Warszawa, 1949 r., str. 103.
- Michał Habalbrunner — Cwiczenie praktyczne z fizyki. Podrecznik dla nauczycieli. Nasza Księgarnia. Warszawa, 1949 r., str. 318.
- Ewa Szelburg-Zarembina — Jedzie traktor. Nasza Księgarnia. 1939 r., 30 str.
- Lew Tolstoj — Opowiadania dla dzieci. Przekład z rosyjskiego Kazimierz Truchanowski. „Biblioteka Żołnierska”. Wydawnictwo „Prasa Wojskowa”. Włd. H. Warszawa 1949 r., str. 94.
- A. Kowalewski — Szlak bojowy Armii Radzieckiej. Przekład z rosyjskiego Stanisław Ziński. Wydawnictwo „Prasa Wojskowa”. Warszawa 1939 r., str. 197.
- Tadeusz Holender — Wiersze — Satyry — Fraszki. Biblioteka Poetów i Esceistów. Związek Literatów Polskich „Książka i Wiedza”. Warszawa 1949 r., str. 394.
- Adolf Rudnicki — Uteczka z jasnej polony. Wyd. II. „Książka i Wiedza”. Warszawa 1949 r., str. 190.

# mała kronika



eroe się raduje, że coraz pełniej czerpiemy z naszych tradycji narodowych. Wzruszająca wystawa pamiątek po Julianie Marchlewskim opowiada nam o piórnym rewolucjonście i wspaniałym człowieku. Na pięterku Centralnej Szkoły Partyjnej tłoczono się w matych salkach chłopcy i dziewczęta ze szkół i uważnie słuchają słów młodego przewodnika. Młody przewodnik mówi o początkach życia politycznego polskiej klasy robotniczej, wskazuje żółte gazety, sklejone ulotki, zamglone fotografie. Oto wąska uliczka we Włocławku, Wisła, którą nade wszystko kochał, panorama robotniczej Warszawy, barykady, łódzkie, rewolucja w Piotrogradzie, Moskiewie, Berlinie... Oto pogodny Marchlewski w tużurku, oto poważny pan w binoklach i z bródką, Marcin Kasprzak, powieszony na stokach Cytadeli. Oto opalony, młodzieńczy Stalin, wesoly, bystro patrzący lekko zmrużonymi oczyma Lenin.

Klasa robotnicza niczego nie potrzebuje upiększać. Dumna jest ze strajków tkaczy, z Komuny, z piątego roku, z Października, pięciolatek i wojny z faszystami. Ale obok optymistycznej tragedii proletariatu historia zna również pod kątem komedii i farsy burżuazji. W każdej pracy natrafia się na jej ślady. Przeglądałem onegdaj roczniki „Wiadomości Literackich” z dwu ostatnich lat przed wojną. Artykuły i tzw. proza tracą myśkają, ale wernym odbiciem ówczesnego życia umysłowego burżuazji. Polska pozostała... Camera Obscura. Notowała ona objawy zdziczenia politycznego szafarowanego Polaki. Warto by przypomnieć niektóre numery rozmaitych „Ogrodników” i „Małych Dzienników”, które szerzyły antysemityzm, zachłystywały się generałem Franco i zachwalały hitlerizm. Kiedyś „Mały Dziennik” (pismo ojców Franciszków) podał z ubolewaniem, że w Czeszochowie zmarło 40 osób, z czego tylko dwu Żydów, którzy tu stanowili z górą 20 proc. mieszkańców. Innym razem oenerowskie „Prosto z mostu” zatowało, że w rozwiązywaniu kwestii żydowskiej nie wyprzedziliśmy Hitlera, a ostarwiony IKC zamieścił zabawne ogłoszenie: „Romantyk, wódz duchowy, poszukuje pożyczki 150 zł”. Ogłoszenie to — słusznie komentował poeta — więcej mówi o pokoleniu, w którym każdy pętał marzy o wodzostwie niż długie artykuły i grube książki. To prawda. Ale te tradycje nie zdecydowały o faszystach, tylko się inozej przebrały. Czepiają się ich resztki polskiej burżuazji. Właśnie oglądam grubą tom pracy naukowej, napisanej przez pobożnego socjologa. Sądząc z odkryć, które poczynił, to romantyk i wódz duchowy. Nazywa się ks. Franciszek Mirek i jest autorem „Zarysu socjologii”, wydane go przez katolicki uniwersytet w Lublinie. Natknąłem się na rozdział zatytułowany tajemniczo „Krótka analiza nas rozbuźdzonej”. Mówi się w nim o chłopstwie i robotnikach. Wódz duchowy zastanawia się nad możliwością istnienia w Polsce warstwy chłopskiej i przejęcia przez nią tradycji szlacheckich. Badania naukowe — argumentuje — dowodzą przecież istnienia warstwy chłopskiej. Jest ona w trakcie tworzenia się. „Badania terenowe wykazałyby zapewne istnienie i innych warstw, np. inteligencji i warstwy robotników”.

Czytałem niedawno, że dwaj maszyniści kolejowi w Związku Radzieckim, obaj laureaci nagród stalinowskich, wystąpili z krytyką stosunków w biurze kolejowej. Uzyskawszy wspaniałe wyniki w wykorzystaniu lokomotywy, pragnęli podciągnąć towarzyszy pracy. Krytykę ich przyjęto i ulepszone zasady współzawodnictwa. Robotnicy ci wyszli daleko poza swój dział pracy, stali się politykami. Z radością dowiedzieliśmy się z gazet, że również załoga polskiej lokomotywy PM 2-5 osiągnęła wyniki radzieckich towarzyszy. Załoga ta, która pół roku przy dobowym przebiegu parowozu powyżej 500 km jeździła na nim bez przepłukiwania kotła i napraw bieżących, otrzymała od Prezydenta „Sztandar Pracy” oraz złote i srebrne Krzyże Zasługi. Jej doświadczenia wykorzystano obsługa szczyńskiego parowozu PT 47-140, która zobowiązała się zwiększyć ilość przejechanych kilometrów między okresowymi naprawami o sto procent, zaoszczędzając państwu dwa i pół miliona złotych. W tym samym czasie w Sztokholmie przemawiała w obronie pokoju przodownica pracy Wyrzykowska.

Patrząc na młodych uczniów, którzy z zaciekaniem ziewali wystawę pamiątek po Julianie Marchlewskim, mimo woli myślałem o studentach KUL-u, którzy poznają rzeczywistość społeczną z doktryny reprezentowanej przez romantyków i wodzów duchowych. Jakże mogą oni przejąć się pięknym rewolucyjnym życiem Marchlewskiego, kiedy siebie się w nich nie wierzą? Jakże mogą zrozumieć czyn załogi PM 2-5, kiedy się im mówi, że fabrykanci bomby atomowej posiadają cenne i wysoce pozytywne przymioty? Jakże pojmą krytykę i samokrytykę maszynistów radzieckich, którzy pokazują, jak świadomy obywatel bierze udział w rządzeniu krajem? Co zrozumieją z historii ostatniego wieku, gdy wstawia się w nich, że ucza Gandhiego z pariasami była większa rewolucja niż... Rewolucja Październikowa?

Jest obowiązkiem naszej publicystyki piętnować wroga klasowego, który ukrywa się za maską „naukowości” i obiektywizmu. Zajęci własnymi sprawami zbyt mało uwagi zwracaliśmy na działalność ideologów burżuazji, zwłaszcza w dziedzinie nauk humanistycznych. Produkcja głupstw ich warsztatów jest rzeczywistością zdumiewającą. Trzeba i tu zaostrzyć czujność i uwagę, aby obok rewolucyjnych tradycji polskiej klasy robotniczej nie krzewiły się wynaturzone pędy reakcyjnego kłamstwa w głowach zablakowanych inteligentów, którzy w czasie, gdy młodzież robotnicza uczy się prawdy historycznej z osiągnięć postępowych warstw narodu, gdy klasa robotnicza walczy o pokój i buduje socjalizm, gdy narody ciężką pracą naprawiają zniszczenia spowodowane żarłocznością imperiaлизму — którzy w tym czasie bezwładnie i bezmyślnie dają się napychać teoriami imperializmu. Bo z pracowni socjologicznej ks. Mirka mogą wyjść na świat „oży uczniowie, którzy będą wdłuż i wszzerz zaciążyć po kraju, zatrzymując się przed budowlami, przecierać niedowierzająco oczy i przygotowując prace seminaryjne o istnieniu klasy robotniczej cienkimi głoskami będą pytać pracujących na potoku murarzy: „Proszę pana, proszę pana, czy pan naprawdę jest robotnikiem?”

Tadeusz Borowski

## TEMATY LITERATURY „ZACHODU”: MORDERSTWO, PROSTY UCIA, PSYCHOPATOLOGIA, GANGSTERSTWO



Rys. Jan Lenica

## PEGAZ LITERATURY IMPERIALIZMU

Redaguje Zespół.

Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 94. Adres administracji, Wiejska 12.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 100.—; kwartalnie zł 300.—; półrocznie zł 600.—; rocznie 1200.—. Prenumeratę przyjmuje PPK „Ruch” — Oddz. w Warszawie, Plac 3 Krzyży 16, PKO Nr I-15230

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawnictwo „Czytelnik” — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5

B-106705

# Komentarze

## O pewnych refleksjach

W 14 numerze „Tygodnika Powszechnego” przeczytałem nie bez zainteresowania artykuł Kisiela pt. „Refleksje jubileuszowe”, w których autor bilansuje pięcioletni plon czasopisma krakowskiej kurii Xiążęco-Metropolitalnej. Kisiel usiłuje odeprzeć zarzut, jakoby „Tygodnik Powszechny” nie był pismem żywym, związanym z dzisiejszym czasem. „Tygodnik” — wywodzi Kisiel — kierował często wzrok w przeszłość, ale czynił to w celu utrzymania ciągłości kultury, w celu czerpania z minionych czasów nau-

porum... I desperacki lord Melrose, krwawy i podniecający. Książka wydana przez „Klub rodzimny”.

Kochanie, czego chcesz jeszcze! rk

## Kwiatki

Tylko z pierwszego rozdziału książki Margaret Storm Jameson pt. „Po drugiej stronie”, przełożonej przez W. Gojawiczyńską-Nadin (Sp. Wyd. „Wiedza” 1948). Podkreślenia i znaki zapytania nasze.

„Nie było ruchu nawet takiego, jaki by uczynił oddech...”

„...kiedy przechodząc spojrział w lustro, wydało mu się, że odbicie jego było częstą (?) niż zwykle: czy to tylko znane (?) światło uwypukliło wszystkie ślady na jego ciele?”

„...Kiedy wychodził, aby złapać swój płóciak, posukał jej. Znalazł ją kłęzącą obok długiego krzesła, na którym, zwinęte w pędy mimo upału, leżało stworzenie — półgłowy, półskieletu. Osiągnęła właśnie to, że usmiechnęła się.

Tym razem on zapytał się:

— Co to jest?

— Dziecko — odpowiedziała stanowczo — nasza Franca. Kiedy przyjedziesz na urlop, będziesz je mógł wziąć na poszukiwanie gwiazd (?)

„...Sposrzedzi, że pozorna prostota młodego człowieka ukrywała inteligencję i szybkość myślenia (?)”

„...Jedyną rzeczą, którą (?) trzeba, aby uruchomić byka, jest wiedza i pewna ręka. Ich ostatnim widokiem w kraju logiki, racjonalizmu i zdrowego rozsądku był obraz metalowca kłęzącego i zachęcającego okrzykami i gestami nieśmiałe próby dziecka, aby utrzymać w ruchu baka...”



ki, analizowania ich błędów i zdobyczy. Czyżby tak było istotnie? Nazwiska, które Kisiel wywołuje z przeszłości na świadectwo swojej tezy, świadczą przeważnie, że „Tygodnik Powszechny” nawijał od tego, co w naszej tradycji kulturalnej było najbardziej wsteczne. Zresztą wystarczy przejrzeć ten numer „Tygodnika”, w którym Kisiel drukuje swoje tkliwe refleksje. Na stronie szóstej i siódmej toczy się homerycki bój o prawo istnienia teorii ewolucji, zaatakowanej w jednym z poprzednich numerów przez ks. Lucjańskiego. Całe grono publicystów nieśmiało klaruje ks. Lucjańskiemu, że nie można zakwestionować teorii ewolucji i odsadzić jej od wartości naukowych, doradzając mu oszczędniej szafować ingerencją cudów w sprawy przyrody (oszczędność zupełnie zrozumiała, jeśli zważymy wzrastający popyt na cud w walce politycznej). Tak, tak, „Tygodnik” wskrzesza zagadnienia, które już dawno przestały być problemem. Teoria ewolucji, która jest dziś przedmiotem płodnych modyfikacji i ustawicznego doskonalenia, przeżywa w roku 1950 na łamach „Tygodnika” swoje hamletowskie „być albo nie być”.

I jeszcze jedno. Można pisać o teraźniejszości i mieć na nią oczy zakryte. W rubryce „Z dnia” tegoz „Tygodnika” czytamy lapidarną notatkę: „Fryderyk Joliot - Curie obchodził ostatnio 50 rocznicę urodzin”. „Tygodnik Powszechny” wolał tę notatkę, w przeciwieństwie do innych, pozostawić bez komentarzy. Wolał zamilczeć przed swoimi czytelnikami, że znakomity uczonego francuski był to komunista, że jest jednym z najwybitniejszych bojowników o pokój, który walczył o zakaz produkcji energii atomowej dla celów wojennych. Teraźniejszość i przeszłość splatają się w „Tygodniku Powszechnym” w jeden reakcyjny obraz. Oto nasz przyczynok do laurki Kisiela.

ks.

## Stulecie dzikusów

W amerykańskim czasopiśmie księgarskim „Retail Bookseller” ukazały się w numerze lutym następujące ogłoszenia, reklamujące nowe edycje książkowe:

### „OBLENIENIE DZIEWICTWA” EUGENIUSZA MAC COWN

Bruce... zaznajamia się z kleptomaniami, z podupadłym arcybiskupem, z homoseksualistami, z mężczyzną, który grał rolę zamężnej kobiety...

### „LEK” GEORGE'A HOPLEY

Marshall w dniu swojego ślubu dusi dziewczynę, która go szantażowała. Ukrywa jej ciało, zawiera małżeństwo i przeżywa następne siedem lat strachu...



### „PEDZ, TWÓRZ, PEDZ” GORDONA SAGER

Pani Macy była lesbijką; pani Richter niemfomanką; Bill był homoseksualistą — wszystko to wywołało groźną burzę uczuć, która osiągnęła punkt kulminacyjny w czasie balu maskowego.

### „POŻAR” GEORGE'A CHALLIS

Przygody Tizo, rudego podpalacza, który wściekle wywija wokół siebie nożem i to-

## Szczur w pułapce

W wychodzącym w Paryżu piśmie emigracyjnym „Kultura”, w rubryce „Arkusze poetyckie” czytamy następujący wiersz Marka Gordona — „Samotność”:

Świat to wielka spiżarnia,  
gdzie jestem samotnym szczurem.  
Przy świetle zapomnianej latarni  
bawię mnie moje pażury —  
myślę, że to jest życie.



Wśród kręgów kolorowego sora,  
na słonych dawnych idealów  
(słrzyłmia jest po szampianie Mumm)  
powoli szczurzą duszę rozbiaram  
i śmieję się, śmieję pomahu...  
Nie zbudzę innych szczurów.  
Oglądam swe odbicie  
w puszcze od konserwo  
i ruszam wąsami  
tocząc lekkim płasem —  
myślę, że to jest życie...  
Zmęczony przyznaczam się na pace  
i usmiecham się do latarni.  
A noc cątuje mnie w pysk szczurzy  
i coraz lepiej mi, i coraz czarniej,  
aż się cały w czerń zamurzę  
najadwszy się przedem do syta,  
aż się sam ucieszę...  
Nigdy nie wiem kiedy świta.  
Myślę, że to jest życie.

Wiersz ten jest niezmiernie charakterystyczny dla nastrojów emigracyjnej poezji: Poeta jest samotnym szczurem w wielkiej spiżarni (świata kapitalistycznego), ogląda swoje odbicie w puszcze konserw (marshalowskich), noc (amerykańska) cątuje go w pysk szczurzy, jest mu więc coraz czarniej, lecz myśli, że to jest życie.

GABRIEL KARSKI

## Z FRASZEK

Władze francuskie odmówiły Ilji Erenburgowi wizy wjazdowej do Paryża.

(z gazet)

Erenburgowi wizy się odmawia;  
taka decyzja nie jego poniża;  
po prostu widać tu jak się przedstawia  
dzisiaj upadek Paryża...

Tak mniej więcej wygląda tedy komentarz polityczny do tego strasznego wierszyka. „Noc idzie, czarna noc z twarzą Murzyna — pisał niegdyś wielki poeta polski. Dzisiejszego poeie-emigranta noc cątuje w pyszczek szczurzy. Wszystko się zgadza.

Jedno tylko zastrzeżenie: poeta ludzi się, myśląc, że jest „szczurem w spiżarni”, jest jedynie — jak wyraził się przeczytawszy ten wiersz pewien mój znajomy — szczurem w pułapce.

m.j.

## Tańce Achesona

W przemówieniu, wygłoszonym do amerykańskich finansistów, Acheson musiał usprawiedliwić się z kłeski w Chinach. Nie miał co prawda łatwego zadania, ale wybrnął z kłopotu wcale sprytnie. Acheson oświadczył:

„Komuniści zagarnęli Chiny, kosztem śmiesznych wydatków. Po prostu zaprosili do Moskwy kilku chińskich przywódców, którzy byli niezadowoleni z przebiegu wydarzeń w Chinach. Tam włożono im do głów gruntownie nauki komunizmu... Widzieliśmy wszystkie zdjęcia z Chin, przedstawiające tańce ludowe na wolnym powietrzu, zorganizowane przez lokalne organizacje komunistyczne. W wielu wypadkach tańce te są jedną rozrywką chłopów. W ten sposób utwierdzono chłopów w mniemaniu, że organizacja komunistyczna jest jedyną, która może zapewnić wieśniakom odpowiednie życie”.



Według Achesona Moskwa wytańczyła sobie rewolucję w Chinach. Taka perfidia stawia świat w obliczu niebywałej groźby. A co będzie, jeśli Krenl wydegluje do Waszyngtonu kilku agentów, którzy odtądzą przed Białym domem boogie-woogie?

ks.

## Podpalacze

Moda nie lubi się utrudniać. Tak samo moda szantażu wojennego. Najpierw groźno uranem. Bomba atomowa miała być lekiem na wszystkie doległości świata kapitalistycznego. Wyprawiano z tą bombą prawdziwe łamańce. Był to szal, podobny do modnego tańca boogie-woogie. Potem okazało się, że przeciętny Amerykanin najbardziej boi się — bomby atomowej. Poza to nie powstrzymała ona bezrobocia w Ameryce. Kilku milionom bezrobotnych znudziła się zabawa z uranem. Chęć pracy. Zamieniono więc boogie-woogie na sambę (to taki taniec, nózka naprzód, nózka do tyłu), a uran na wodór. Uchwalono krucjatę wodorową. Senat amerykański przyznał kredyty na budowę bomby atomowej z wodoru. Ma być ona o wiele potężniejsza od uranowej. Oslawiony bokser, kardynał Spellman w związku z wodorówką oświadczył: „Ponieważ mamy bombę atomową, każdy chrześcijanin powinien być przygotowany na śmierć”.



No, i skandal. Wybitny fizyk atomowy Hans Bethe ogłosił artykuł w „Scientific American”, a w tym artykule czarno na białym napisał, że bomba wodorowa można chcieć, ale nie można zrobić. Bo niewiadomo jak. Produkcja bomby wodorowej jest nierozwiązanym problemem naukowym. Poza to użycie bomby wodorowej przyniesie Stanom Zjednoczonym więcej szkód niż korzyści. I wylicza swoje racje.

Cóż więc robi rząd Stanów Zjednoczonych za plecami Statu Wolności? Rząd popycha komisje atomową. Komisja bierze się do roboty. Śląda na kupę trzy tysiące egzemplarzy miesięcznika „Scientific American” i oblawszy benzyną — podpala. Profesorowi Bethemu zaś polecia w kwietniowym numerze pisma ogłosić artykuł w „prawdowej” wersji. że niby bomba wodorowa istnieje i że produkcja jej jest rozwiązaniem problemem.

Przed budynkiem komisji atomowej, naokoło placu, na którym dokonano spalania, stało zapewne kilku strażaków, pilnując, aby się pożar nie przeniósł. Niech dobrze pilnują. Bo naokoło placu Opery w Berlinie, gdzie Goebbels palił niegdyś dzieła pisarzy antyfaszystowskich, stoją teraz wypalone, głuche, bezdłune mury.

th.